

Drzeworyt St. O. Chrostowskiego

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 20 GRUDNIA 1936 NR. 7/8

Dyszla w głowie!

Powiedział mi ktoś niedawno o X: „Ależ ona ma dyszel w głowie!“

Nie dosłyszałam dobrze tego nowego dla mnie określenia. Jakieś „ysz w głowie“ ... myszki w głowie? hm, takich komplementów to się jeszcze w Polsce nie mówi...

— Przepraszam, nie dosłyszałam...

— Ona ma — dyszel w głowie!

— Aha, rozumiem! — roześmiałam się.

Ubawiło mię to wyrażenie. Świetne!

Z zakamarków pamięci wylazł jakiś dziedziniec na wsi. Na dziedzińcu stoi odprzężony właśnie powóz. Zapraszam młodszą siostrę, by wsiadła, teraz „my“ pojedziemy!

Pchamy z bratem z tyłu. Czerwieniejemy z wysiłku! Sapiemy, jak stare perszerony! Powóz rusza... sunie wprost na drzewo. Stop! pchamy teraz od przodu, cofamy powóz i znów jazda! Tym razem na kwokę z kurczętami. Z daleka krzyczy na nas Marcinowa, że jej kurczęta podusimy! Odganiam filozoficznie kwokę i plączące się pod nogami kurczaki. Naprzód! dobrze idzie!..

— Ojej, ojej! — Wandzia w powozie drze się w niebogłosy!

Zmierzamy prosto do rowu po wytłokach! Speszone rumaki stają...

I teraz zaczynamy inaczej. Jerzy pcha od tyłu, ja chwytam dyszel.

Dama w powozie klaszcze w ręce i śmieje się pełną radością czteroletniego człowieka. Okrążamy elegancko dziedziniec, z szykiem stajemy przed gankiem dworu. (Z tego dworu coś nam się wprawdzie oberwało: „że też to nigdy nie wiadomo, co wam strzeli do głowy!“ — ale to już dawno, dwadzieścia lat temu.)

Dyszel! W tym był sekret jazdy! Ten sam wysiłek pchania czy ciągnienia, a jakże inny rezultat! Kochany dyszlu! klepię cię dziś jeszcze w myśli, jak poczciwy, koński grzbiet.

Więc i Wam życzę na nowy rok 1937 — dyszla w głowie! Umiejętności kierowania swym życiem.

Dyszel nie jest taki znów bardzo drogi, w każdym razie dyszel jest na pewno tańszy, niż cały powóz, a powozowi bez dyszla grozi pogruchotanie się!

Wprawdzie dyszel, to jeszcze nie wszystko, by gdzieś dojechać. Jeżeli np. nie mam talentu do śpiewu, to, choćbym na utrapienie całej familii piała od rana do wieczora, Adą Sari ani Martą Egerth nie zostanę. Dyszel nie tworzy zdolności.

— A może?

Jeżeli jakieś zdolności mam, ale nimi nie umiem pokierować, wyzyskać ich, to faktycznie jest tak, jakbym ich nie miała!

Mogę się wtedy spocić, zasapać, zmęczyć tak, że już ochoty ani sił nie mam do dalszej jazdy, a kończę na — rowie po wytłokach. Trudno z rowu koła wyciągać. A jeszcze gorzej, jeśli się przy okazji powóz pogruchotał. Marny los! Więc jednak ten dyszel, to coś więcej, niż tylko kierowanie zdolnościami.

Umiejętność pokierowania swymi zdolnościami zdolności wprawdzie nie stwarza, ale je zachowuje (a więc — chroni przed zniszczeniem) i rozwija.

I jeszcze jedno. Jadąc bez dyszla, ciągle zmieniamy kierunek, jesteśmy zdani na wszelkie przypadkowe nierówności terenu, nie możemy ominąć belki, leżącej na drodze, ani innych przeszkód. Przy tym, jeżeli ciągle zmieniamy kierunek, to przyrost pędu (fizyka z kl. IV g i VII g!), możliwy przy jednokierunkowej jeździe, zostaje stracony.

ŻYCZLIWOŚĆ DLA PISMA OKAŻ CZYNEM!

Zamiast jechać coraz prędzej mocą zdobytego rozpędu, ciągle na coś wjeżdżamy, stajemy — i potem trzeba na nowo pokonywać najtrudniejszy moment — moment bezwładnego oporu ciała przy wyruszaniu go ze spoczynku. Nadkładamy na ciągłe zmiany kierunku mnóstwo drogi i sił. Zbliżamy się do celu cztery, pięć, a może dziesięć razy wolniej, niż, gdyby był ciągle dobry kierunek. Przykładów z naszego życia konkretnego nie ma potrzeby dawać... dość spojrzeć choćby w jeden nasz dzień „bez dyszla".

A gdy się ciągle zmienia kierunek, to wreszcie można i prawdziwą drogę zgubić i teraz nowy kłopot — szukajże właściwej drogi! Ile straty czasu!

— — — — — — — — — — — —

Jeżeli nie wybieramy się w jakąś specjalnie daleką drogę, wystarczy znajomość terenu, trochę sił — i dyszel.

Ale na wycieczkę dalszą, albo po nieznanym mieście bierzemy plan, mapę. Inaczej — albo zgubimy drogę, albo będziemy zmuszeni do ciągłego pytania:

— Dokąd teraz? a którędy? jak daleko? — i potem zwykłe „dokładne" wskazówki:

— Teraz w prawo, potem na lewo, potem prosto, potem znowu na prawo itd. Czysta desperacja...

— Więc jak właściwie, proszę pana, mam iść?

— Mapa, plan, to nasz światopogląd, nasza orientacja w otaczającym nas świecie. Takiej mapy nie dostaniemy gotowej. Kupić jej nie można. Wypracować ją sobie musi każdy sam, a otoczenie i okoliczności życia do tego tylko dopomagają.

Wiemy z geografii, jak taka mapa stopniowo powstaje. Nanosimy na nią poznane przedmioty: sytuacje i sprawy życia. Im lepiej je przemyślimy, tym mapa przejrzystsza, lepiej narysowana.

A teraz — ostatnie życzenie.

Na mapie, na której zaznaczyliśmy trasę naszej wycieczki, mamy cel — upragniony punkt, podkreślony podwójnie czerwonym kolorem ukochania, a drogę do niego mamy znaczoną czerwoną linią — czynów z miłości do celu.

Na mapie waszego życia na rok 1937 życzę Wam w święta Bożego Narodzenia, święta miłości — czerwono zaznaczonego celu — i czerwono znaczonej drogi do niego. Redakcja.

Najdawniejsze obrazy Narodzenia Pana Jezusa

(Miłośniczkom sztuki.)

— Jeżeli myślicie, że tylko was wzrusza i cieszy oglądanie obrazów, przedstawiających przyjście na świat Bożego Dzieciątka, to chodźcie razem ze mną, a przekonacie się, że jest inaczej. Chodźcie — pójdziemy na daleką wycieczkę — w czasie. Powędrujemy do pierwszych wieków naszej ery, do lat, kiedy ziarno gorczyczne chrześcijaństwa nie rozrosło się jeszcze w żyjące dzisiaj olbrzymie drzewo, lecz było dopiero wątłym i niedużym krzaczkiem. Zobaczymy, jak pierwsi chrześcijanie radują się z Narodzenia Dzieciątka i jak Je czczą w swej sztuce.

— Jesteśmy w czwartym wieku po Narodzeniu Chrystusa. Gdzie będziemy szukać w tym czasie chrześcijan? Idźmy do ojczyzny Chrystusa Pana, Palestyny i do stolicy chrześcijaństwa, założonej przez św. Piotra — do Rzymu. Tam jest ich już dużo.

W Palestynie budują właśnie wielkie kościoły — bazyliki we wszystkich miejscach, w których zdarzyły się ważne wypadki z życia Pana Je-



1. Ampulka z Monza.

Matka Najświętsza, leżąca obok Niego i św. Józef, siedzący z głową opartą na ręku i aniołowie złatujący z nieba, jak ptaki, wół i osioł i pasterze, przynoszący dary. Artysta chciał jak najdokładniej pokazać ludowi całe zdarzenie, żeby każdy patrzący na obraz miał przed sobą jakby opowiadanie Ewangelii świętej. Zrobił to dlatego, bo jak wiemy, nie znano wtedy jeszcze druku ani papieru, a księgi pisane na pergaminie i papirusie były bardzo rzadkie i drogie i nie tylko poszczególni ludzie, ale nawet miasteczka nie mogły ich posiadać.

— W tym miejscu zaczynamy oglądać ilustracje przy artykule i nie widzimy fotografii opisanego obrazu. Nie ma fotografii. Bo też i obraz nie zachował się do naszych czasów.

zusa. Oczywiście, że w pierwszym rzędzie chcą uczcić miasteczko Betleem, jako miejsce Narodzenia Chrystusa. Dlatego nad grotą skalną, w której przyszło na świat Dzieciątko, budują olbrzymi kościół i ozdabiają jego ściany wewnętrzne pięknymi mozaikami.*)

— Na głównym miejscu, nad samym ołtarzem znajduje się piękny obraz przedstawiający Narodzenie Pańskie. Jest tam i żłóbek z Dzieciątkiem i

*) Mozaika jest to specjalny rodzaj zdobienia ścian, polegający na tym, że na świeżym, mokrym tynku układa się obraz z różnokolorowych, maleńkich, gładko szlifowanych kamyków. Tynk potem zasycha i kamienieje, a obraz przez to staje się niezwykle trwały. Jest to sposób bardzo żmudny i wymagający wiele umiejętności i cierpliwości.



2. Tabliczka z kości słoniowej z Rawenny.

W ciągu następnych wieków został całkowicie zniszczony i nawet ślad po nim nie pozostał. — Mimo to jednak wiemy, jak ten obraz wyglądał. W owych czasach bowiem był w Palestynie piękny zwyczaj, że każdemu pobożnemu pielgrzymowi, który zwiedzał jakieś święte miejsce i kościół tam stojący, dawano na pamiątkę małą ampułeczkę ołowianą napełnioną olejem świętym z tego właśnie miejsca. Na każdej ampułeczce dla przypomnienia, skąd pochodzi, był w środku ten sam obraz, co w danym kościele, przedstawiający odpowiednią chwilę z życia Pana Jezusa. I tak ampułka z miejsca śmierci Chrystusa miała pośrodku obraz Ukrzyżowania, ampułka z miejsca Zmartwychwstania miała na sobie wyobrażenie Zmartwychwstania Pańskiego, na ampułce zaś z Betleem powtórzony był obraz z bazyliki Narodzenia, a przedstawiający Narodzenie Pana Jezusa. Cały zbiór tych ampułek przechował się do naszych czasów w skarbcu katedry małego miasteczka Monza koło Mediolanu. — Na ilustracji Nr 1. mamy fotografię jednej z tych ampułek, pochodzących akurat z Betleem. Dlatego pośrodku, w okrągłym kółku, jest obraz Bożego Narodzenia, ten sam, który był w bazylice betleemskiej. W kółkach naokoło rozłożonych są inne sceny z życia Chrystusa.

Oczywiście, że na takiej malutkiej ampułce (jest ona mniejsza od dłoni) nie można było przerysować dokładnie całego obrazu, dlatego jest on mocno skrócony. Mamy jednak z późniejszego czasu inne jeszcze powtórzenia tego samego typu obrazu. Na ilustracji drugiej jest fotografia małej tabliczki z kości słoniowej, znajdującej się dziś w Rawennie we Włoszech. Na niej wyrzeźbiony jest taki właśnie obraz. Tu już bez trudności rozpoznajemy wszystkie szczegóły. Są nawet i trzej królowie w zabawnych czapkach, niosący dary, niewiasty kąpiące małego Jezusa i owce, a nawet w rogu siedzi piesek - owczarek.

Tak to wyobrażano sobie i przedstawiano historię Narodzenia Pańskiego w Palestynie i w ogóle na Wschodzie.

Ale idźmy w tym samym czasie na Zachód, do Rzymu. Zobaczmy, jak tam artyści opowiadają ludziom o tym samym zdarzeniu. Żeby zachowane zabytki obejrzeć, musimy zejść do katakumb, starych cmentarzy chrześcijańskich, kopanych w kształ-



3. Malowidło katakumbowe. Rzym. Z cmentarza św. Sebastiana.

cie korytarzy podziemnych w twardej rzymskiej ziemi. Groby są tam w ścianach, jak otwory szufladowe w biurku, jedne nad drugimi, albo też w kształcie półokrągłego wgłębienia — niszy ze zwykłymi, jak u nas, grobami w podłodze.

Groby te bliska rodzina ozdabiała, tynkując je na biało i malując na nich różne pobożne obrazki. Obrazy te malowali artyści nieuczeni i prości. I tak mamy tam obraz chrztu P. Jezusa, wskrzeszenie Łazarza, uzdrowienie paralityka itp. Idąc tak w ciemności ze świecą w ręku, spotykamy na jednym z grobów i obraz Narodzenia Pańskiego. Mamy go tu na reprodukcji (Nr. 3.) To, co nam się odrazu w oczy rzuca, to skromność i prostota tego obrazu. Widać na nim tylko Dzieciątko w takim dziwnym żłóbku w rodzaju stołu. Koło nóg P. Jezusa głowy wołu i osła, a nad Dzieciątkiem Matka Najświętsza. Bardzo to niewiele, tyle tylko, żeby każdy mógł poznać, że tu chodzi o Narodzenie Chrystusa i westchnąć przy grobie drogiego zmarłego za jego duszę do Dzieciątka.

Z cmentarza przejdźmy do Muzeum Laterańskiego, gdzie zgromadzone są kamienne trumny-sarkofagi pierwszych chrześcijan. Na bardzo wielu z nich mamy wyobrażone Narodzenie. Oto jeden z nich (Nr. 4). Na dwu drągach wsparty dach szopy. Pod nim w żłóbku plecionym z wikliny leży Dzieciątko. Koło niego stoją wół i osiołek. Z prawej strony pasterz z laską, z lewej palma, hołd trzech królów, za którymi widać głowy wielbłądów. I to wszystko. Jak widzimy, znów bardzo wstrzemięźliwie i skromnie. Całkiem inaczej, niż na obrazach ze Wschodu. Zobaczyliśmy po dwa obrazy z dwóch dawnych typów Narodzenia. Jak widzimy, w tych dwóch rodzajach istnieją wielkie różnice.

O tym samym zdarzeniu artyści opowiadają w różny sposób, jakże odmienny od dzisiejszego. Dlaczego tak jest?

Gdyby w jakiejś klasie polecono wszystkim narysować, jak sobie wyobrażają np. wigilię w domu, to ten sam temat przez każdego narysowany byłby zupełnie inaczej. To nazywa się w sztuce różnica indywidualna. Gdyby następnego dnia pokazano uczniom wszystkie rysunki, to jeden albo dwa podobałyby się wszystkim bardziej, niż inne. Gdyby znów zadano po raz drugi ten sam temat do narysowania, to napewno część klasy wzorowałaby się na jednym, część na drugim obrazku najładniejszym. Możnaby więc wszystkie obrazki podzielić na



4. Sarkofag chrześcijański. Rzym. Muzeum Laterańskie.

dwie grupy. I to się nazywa w sztuce typem.

W ciągu całych dziejów sztuki kościelnej typy obrazu Narodzenia Pańskiego zmieniają się w różnych czasach. Dziś pokazałem, jak wyglądały dwa pierwsze, najstarsze typy tego obrazu. O dalszym jego ciekawym rozwoju i zmianach pomówimy na przyszłe Boże Narodzenie. *X. I. M.*

Przygoda Petersona

Jerzego Petersona poznałem w nader dziwnych warunkach. Było to w dolinie Wierchcichej, po czeskiej stronie Tatr, w szałasie noszącym dumny, choć niezasłużony tytuł schroniska. „Schronisko" to składało się z jednej tylko izby, pozbawionej sufitu, podłogi, a zaopatrzonej za to w zbudowane z kamieni palenisko i otwór w dachu, służący do wypuszczania dymu. Przez otwór ten, jak i przez liczne dziury w ścianach można było w noc pogodną śledzić bez trudu ruchy ciał niebieskich, z tego też powodu szałas nosił wśród nas nazwę „szałasu astronomów" — najgorsze określenie, jakie można nadać tego rodzaju przybytkowi.

Zagnała mnie tutaj psia pogoda, jaką tylko górski klimat poszczycić się może. Od rana już wiał wicher tak gwałtowny, że zatykał poprostu oddech i tak lodowaty, że krew zdawała się marznąć w żyłach a skóra stawała się sina i krucha. Na domiar złego padał gęsty śnieg z mgłą, zasłaniającą niemal zupełnie widok. W tych warunkach nic łatwiejszego, jak zmylić drogę i błąkać się cały dzień, lub nawet kilka dni w kółko albo, co gorsza, dostać się na jakie lawiniaste zbocze.

Wracałem właśnie z dłuższej wycieczki, a nie mając wyboru, tutaj postanowiłem przeczekać niepogodę, tym bardziej, że zbliżał się już wieczór.

Narty ustawiłem przed drzwiami, wbiwszy je głęboko w śnieg, by wiatr ich nie porwał, po czym rozpakowałem plecak, rozłożyłem śpiwór i nastawiłem na spirytusową maszynkę zupę, złożoną z dwu ostatnich kostek Maggi, jakie posiadałem. Gdybym był wtenczas wiedział, że nigdy nie danym mi będzie zjeść tej zupy!

Dolina Wierchcicha rzadko odwiedzana jest przez turystów latem, a zimą już chyba nigdy, to też wielkie było moje zdumienie gdy, naścinawszy drzewa na opał wróciłem po jakimś czasie do szałasu i ujrzałem w nim nieznanego mi człowieka. Siedział on wygodnie na śpiworze i zajadał w najlepsze z mej manierki. Obok leżała cała sterta równo pokrajanego chleba a na maszynce nastawiona już była herbata.

Oniemiałem i o mało nie wypuściłem z rąk drzewa!

Nieznajomy nie zmieszał się wcale mym widokiem. Przez chwilę żuł spokojnie i dopiero przełknąwszy ostatni kęs, odezwał się bez żadnego powitania czy usprawiedliwienia, jakbyśmy byli od niepamiętnych czasów dobrymi znajomymi:

— Dobrze pan gotuje, tylko, jak na mój apetyt, trochę mało.

Powiedział to tonem pełnym kurtuazji, a widząc, że jeszcze nie ochłonąłem, ruchem uprzejmym wskazał mi miejsce obok siebie:

— Proszę siadać, niech się pan nie krępuje . . .

Tego już było za wiele. Nie dość, że tak bezczelnie zabrał się do moich zapasów, jeszcze każe mi się nie krępować!

— O, widzę, że i pan się nie krępuje! — zawołałem z pasją (mam już bo-



Narciarze. Kalatówki — widok na Goryczkową Fot. S. Zdyb

wiem taką nieszczęśliwą naturę, że gdy jestem głodny, wpadam w pasję.)

Nieznajomy uśmiechnął się mile:

— Boże zachowaj — czuję się tutaj, jak u siebie w domu.

— Aż zanadto!

— Niezbyt pan, jak widzę, uprzejmy — odezwał się na to z miną wyrozumiałą, — ale to przejdzie, jak sądzę. Poprzyjaźnimy się chyba.

— Niestety, nie mam zwyczaju przyjaźnić się z ludźmi, którzy... którzy... — nie wiedziałem, jak dokończyć. Dokończył za mnie nieznajomy:

— Którzy zjadają panu zupę. Całkiem słusznie — taki już mamy zmaterializowany świat. Bo widzi pan, wszystkie nasze myśli obracają się dookoła miski, jak w jakim zaczarowanym kole...

Ten wywód filozoficzny wyprowadził mię do reszty z równowagi, a bardziej jeszcze jego słuszność. Nie mogę znieść, gdy kto umie zachować spokój, podczas kiedy ja jestem wzburzony.

— Zachowuje się pan, jak rabuś, i jeszcze kpi sobie ze mnie!

— Ja kpię z pana? Zgoda, zachowuję się, jak rabuś, ale gdzieżbym ośmielił się kpić z tak miłego człowieka! Nawet pan nie wyobraża sobie, jak mnie boli takie posądzenie...

Mówiąc to, miał minę tak zmartwioną, że wydało mi się, iż mówi szczerze. Złagodniałem więc nieco.

— Bo sam pan chyba przyzna... — zacząłem.

— Przyznaję, przyznaję, ale widzi pan, nic tak nie rozgorycza, jak niesłuszne posądzenie: Jakże to? — Zjadłem zupę, a nawet myślę o tym oto chlebie i herbacie, która nawiasem mówiąc, pewno już gotowa (uniósł pokrywkę) — i jeszczebym kpił? W głowie mi się to nie mieści! — Ale proszę, niech pan siada. Krępuje mnie, gdy pan stoi, a ja siedzę.

Widziałem, że robi ze mnie wariata, ale nie wiem jakim sposobem usiadłem obok niego.

— Skąd się pan tu wziął? — spytałem, by zmienić temat rozmowy.

— Ach, całkiem zwyczajnie. Wybierałem się właśnie Pod Bańską, ale w drodze zastała mię ta przeklęta pogoda. Cudem tylko trafiłem tutaj, a ponieważ nie miałem nic do jedzenia, przeto skorzystałem ze sposobności...

Chwilę zapanowało milczenie. Słychać było tylko świst wiatru, wpadającego przez szczeliny do wnętrza.

— Nie zbyt tu przytulne miejsce — odezwał się znów nieznajomy — i gdyby nie tak miłe towarzystwo nie wiem doprawdy, jakbym tu mógł usiedzieć!

Znowu ogarnęła mnie złość:

— Niech pan powie na serio, czego pan chce ode mnie? — zawołałem.

Uśmiechnął się czarująco:

— Jeśli panu mój widok jest tak wstrętnym, to mogę stąd odejść, nie sądzę jednak, by chciał pan wypędzić kogoś na taką pogodę.

Ponieważ nic na to nie odpowiedziałem, poruszył się, jakby chciał wstać.

— Niech pan siedzi — powstrzymałem go. — Nie miałem tego wcale na myśli, tylko jestem tak trochę zdenerwowany i zaskoczony . . .

Ni stąd, ni zowąd przedstawił mi się:

— Jestem Peterson — Jerzy Peterson.

Na dźwięk tego nazwiska osłupiałem.

— Jak . . . jakto . . . — począłem bąkać — pan jest Petersonem, tym Petersonem? . . .

Peterson był osobistością, znaną w górach wszystkim, wprawdzie jedynie ze słyszenia, ale za to owianą jakąś przedziwną legendą. Mówiono o nim niestworzone rzeczy, w które, nawiasem mówiąc, nigdy nie wierzyłem, ale które pobudzały moją fantazję i wydawały mi się ciekawymi bajkami. Podobno błąkał się stale po górach zimą i latem, bez żadnego celu, a znaleźć go można było zawsze tam, gdzie się go najmniej spodziewało. Mówiono, że niejednemu już ocalił życie, śpiesząc zawsze z pomocą tym, co byli w niebezpieczeństwie. Panowało też wśród taterników przekonanie, że przeszedł on wszystkie najtrudniejsze ściany w Tatrach, a nawet, że dokonał sam jeden takich wejść, o jakich zwykły śmiertelnik nie może nawet marzyć. Nikt tylko nie wiedział, kim był właściwie i z czego żyje. Ta ostatnia tajemnica, zważywszy na moją nieszczęsną zupę, wydała mi się rozwiązaną.

— Więc pan jest owym legendarnym Petersonem — mówiłem, nie kryjąc zdumienia i pewnej jakby radości.

— No, tak, jestem Petersonem.

Od tej chwili stosunek mój do niego zmienił się radykalnie; nie tylko, że zapomniałem o Maggi, ale wydobyłem jeszcze z czeluści mego plecaka potężny kawał kiełbasy i wręczyłem ją Petersonowi z namaszczeniem, jakby conajmniej buławę hetmańską. Gość mój, uczczony w ten sposób, uśmiechnął się i przyjął dar bez wahania:

— Tego właśnie spodziewałem się po panu — powiedział. — Tak, to rozumiem.

Wieczór minął nam przyjemnie przy sutym ognisku na pogawędce o tym i owym, nie pytałem o nic specjalnie, choć paliła mnie ciekawość dowiedzenia się czegoś bliższego o dziwnym tym człowieku. Ale on domyślił się chyba. Jakoż późno już w noc, gdy księżyc, widoczny przez dziurę w ścianie, przebijając się czasem przez mgłę wypłynął już wysoko na niebo, Peterson zapalił niewiadomo którą już z rzędu fajkę i otoczywszy się gęstym dymem, odezwał się:

— Chciałby pan pewnie dowiedzieć się czegoś z mego życia?

Potwierdziłem skwapliwie skinieniem głowy.

— Nie lubię mówić o sobie, ale właściciel takiej kiełbasy (zjadł wszystko, jakby to był jeden listek) zasługuje na pewien wyjątek. Opowiem panu mą przygodę, która zdarzyła mi się kilka lat temu, także zimą.

Nastawiłem pilnie uszu.

Zakopane. *Tadeusz Polcyn.*

(Dokończenie nastąpi.)

PIELGRZYM

Jak wąż pleciona w skręty w pogoni za cieniem
Dyszy krwawą kurzawą i białym oparem
Wyschła z pragnienia droga. Suchym przepalona żarem
Poci się wśród dziennego skwaru zapiekłym zmęczeniem.

A w nocy pusta, chłodna i milcząca
Pod czarno-srebrną tarczą wyiskrzonych mroków
Wydzwania pośród ciszy rytmem moich kroków
Godziny od zachodu do powrotu słońca.

Idę wciąż, niestrudzenie. Znikąd gdzieś, z daleka,
Drogą, która z wieczności w wieczność się wysnuwa,
I wiem, że z swej oddali wciąż nade mną czuwasz.
Boże, który na końcu drogi mojej na mnie czekasz.

Halina Łuczyńska.

Chmury nad Europą

Że przewrót bolszewicki w Rosji nie był li tylko sprawą wewnętrzno-państwową — to było rzeczą pewną już w roku 1917. Obserwując jednak różnice planów politycznych pomiędzy przywódcami komunizmu, można było postawić sobie pytanie, jak prędko uda im się rozszerzyć działalność na teren międzynarodowy. Spór Stalina z Trockim, zakończony opuszczeniem Rosji przez tego ostatniego, zdawał się przemawiać za programem włożenia głównego wysiłku w sprawę ustalenia ustroju komunistycznego w Rosji i odłożenia akcji na terenie Europy czy całego świata na plan dalszy. Przemawiał za tym również fakt, że próby wyzyskania zamętu powojennego i wywołania rewolucji bolszewickich w państwach środkowoeuropejskich (jak akcja Béli Kuhna na Węgrzech) spotkały się szybko z niepowodzeniem.

Niemniej poszczególne państwa liczyły się już wówczas z możliwością przenikania na ich terytorium idei komunistycznych i starały się wszelkie objawy niepokojące odrazu tłumić. Béla Kuhn szybko stosunkowo opuścić musiał Węgry, a we Włoszech z walki z komunizmem wyrosła potęga organizacji faszystowskiej. Niezależnie od zmagań poszczególnych społeczeństw czy rządów, powstała Międzynarodowa Liga Antybolszewicka celem zorganizowania solidarnej akcji w walce z niebezpiecznym przeciwnikiem.

Pozornie jednak Stalin nie śpieszył się z propagandą komunizmu poza Rosję. Na razie inny plan sobie zakreślił. Głośne jego „piatiletki" miały na celu rozwój gospodarczy i podniesienie stopy życiowej w Sowietach, na to, by „raj" bolszewicki skusił do rewolucji komunistycznej proletariat państw kapitalistycznych. Chwilowo Rosja zdawała się być obojętną na sprawę ustrojów politycznych i społecznych całego świata.

Polityka powyższa umożliwiła Rosji intensywne zajęcie się swoimi sprawami wewnętrznymi, przy jednoczesnym zdobywaniu sobie coraz poważniejszego stanowiska w oczach polityków zagranicznych.

Nawiązanie stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi, poprawa stosunków z Wielką Brytanią,

układy z Rzeszą Niemiecką (Rappallo, traktat berliński 1926, ponowne układy z Niemcami hitlerowskimi — maj 1933) szereg paktów nieagresji z sąsiadami zachodnimi w latach 1933-34. Później, w okresie pogorszenia się stosunków z Niemcami — pakty wzajemnej pomocy z Francją i Czechosłowacją. Wreszcie — triumf przychylnego, prawie serdecznego przyjęcia do Rady Ligi Narodów. Był to okres, kiedy się z Sowietami liczono, kiedy zabiegano poniekąd o ich przyjaźń. (Wizyty Lavala, Benesza i Edena w Moskwie.) O planach jakiejkolwiek propagandy komunistycznej na terenie międzynarodowym nie wspomniano nawet.

Aż nagle w sierpniu 1935 dowiedziała się Europa o zwołaniu VII Kongresu Kominternu, będącego przecie naczelnym organem III Międzynarodówki, pracującej nad zorganizowaniem akcji komunistycznej na jak najrozleglejszej przestrzeni.

Kongres Kominternu, polityka „Frontów Ludowych" — i Europa przejrzała.

Oziębiły się stosunki Sowietów z Anglią, krytyczniej spojrzeli politycy państw sąsiedzkich — i wyraźnie wystąpiło nieprzychylne stanowisko Trzeciej Rzeszy.

Jeszcze mogła Rosja Sowiecka liczyć na Francję, jeszcze wierzyła w przyjaźń Czechosłowacji i Rumunii, jeszcze starała się umocnić wpływy w obrębie Litwy. Ale sytuacja stawała się coraz gorsza.

Porozumienie francusko-sowieckie spowodowało dla Francji tyle trudności politycznych, że dziś trudno byłoby już Rosji liczyć na czynną solidarność zachodniego sojusznika. (W dzisiejszej Francji zarówno prawica jak radykali przeciwni są współdziałaniu z Sowietami, sama zaś partia komunistyczna nie jest dostatecznie silna, czego dowodem jest stałe chwianie się gabinetu Bluma.) W Rumunii również tekę filo-bolszewickiego Titulescu objął Antonescu, co oznacza zasadniczą zmianę kursu polityki rumuńskiej. Pozostaje Czechosłowacja, która jednak dysponuje siłami militarnymi znikomymi w stosunku do swych sąsiadów, niechętnych Rosji Sowieckiej.

Nie umiejąc uszczęśliwić obywateli własnego kraju, Stalin rozpoczął akcję poza granicami Rosji. Dyktator dał hasło, Komintern rozpoczął pracę.

Zaczęto od Hiszpanii. Mimo pozornie silnej pozycji katolicyzmu na półwyspie Iberyjskim, mimo wpływu Kościoła — Hiszpania stanowiła pierwszorzędne podłoże dla rozwoju rewolucji komunistycznej. Separatyzmy lokalne (np. Katalończycy, Baskowie), kontrast bogactwa Kościoła i szlachty z nędzą ludności wieśniaczej, — to wszystko wybitnie ułatwiało rozwój akcji.

W lutym b. r. odbywały się w Hiszpanii wybory do parlamentu. Dzięki szczególnemu systemowi wyborczemu, pomimo znacznej przewagi głosów prawicy w parlamencie — większość osiągnęli zwolennicy t. zw. „Frontu Ludowego", którzy, uzyskawszy w ten sposób wpływ decydujący na sprawy państwowe, zorganizowali rządy wybitnie radykalne. Zasady komunistyczne, na których opierali się w sprawowaniu władzy, odzwierciedliły się w systemie terroru w stosunku do obywateli innych przekonań. Zaczęły się procesy, aresztowania i wyroki śmierci na narodowców, niszczenie kościołów, znęcanie się nad księżmi i zakonnicami.

Zamordowanie nacjonalisty Sotela dało partii narodowej hasło do powstania. W lipcu b. r. gen. Franco zjawia się na półwyspie Iberyjskim na czele wojska sformowanego na terenie Algeru. Idee narodowe porywają nowych ochotników. Siły powstańcze rosną. Gen. Franco ze swoim wojskiem posuwa się coraz dalej.

Europa obserwuje konflikt hiszpański i nie jest dla niej rzeczą obojętną, jak się ułożą stosunki na półwyspie.

Z różnych państw europejskich śpieszą nieoficjalnie ochotnicy, by wzmocnić siły powstańców. We Francji komuniści domagają się udzielenia jawnej pomocy czerwonemu Madrytowi, a z Rosji napływa broń i amunicja. Im ciszej się tej pomocy udziela, tym głośniej inni o niej mówią.

Sowiety oficjalnie nie wypowiadają wojny hiszpańskim nacjonalistom, ale radio moskiewskie codziennie w płomiennych przemówieniach dodaje otuchy rządowi madryckiemu, a dyktator Stalin w depeszy swojej do przywódcy hiszpańskich komunistów z dn. 16. X. b. r. mówi wyraźnie, że „wyzwolenie Hiszpanii od ucisku faszystowskich reakcjonistów nie jest prywatną sprawą Hiszpanii". Sowiety odsłoniły przyłbicę. W Madrycie, Walencji i Barcelonie współrządzą wysłannicy moskiewscy. Rosenberg, Owsiejenko — to już nie tylko nazwiska dyplomatów rosyjskich, ale wodzów czerwonej Hiszpanii. Popularność portretów Stalina we wschodniej części półwyspu mówi sama za siebie. Przywódców moralnych rządowych wojsk hiszpańskich trzeba szukać na wschodzie Europy.

Jaki cel mogą mieć Sowiety w reżyserii tragedii hiszpańskiej? Bez wątpienia nie myślą o zdobyciu tych terytoriów dla siebie. Zbyt jaskrawo wystąpiłyby w oczach całego świata ich plany imperialistyczne i zbyt wysoką ceną musiałyby okupić tego rodzaju zdobycze terytorialne.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Moskwa ma inny plan. Przez wprowadzenie zwycięskiego komunizmu na teren Hiszpanii zacząć planową akcję komunizowania całej Europy. Mówi się nawet o projekcie zainstalowania agend Kominternu w Barcelonie (służba techniczna i tajne archiwa pozostałyby nadal w Moskwie). Z Hiszpanii wpływy komunistyczne przeniknęłyby w silniejszym stopniu na teren Francji, gdzie Komintern liczyć może na miejscowych komunistów. Czy praktyczni i rozsądni Francuzi daliby się ostatecznie skusić pięknymi hasłami, których realizację obserwować mogli w Rosji i w Hiszpanii, — to sprawa inna, niemniej akcja tego rodzaju mogłaby narazić Francję na poważny wstrząs wewnętrzny, co niewątpliwie znaczniebyosłabiło jej mocarstwowe stanowisko. Akcja komunistyczna na terenie wszystkich państw środkowo-europejskich stanowiłaby poważny czynnik destrukcyjny dla ich pokoju wewnętrznego i stanowiska na widowni światowej. Wszystko to zaś byłoby tylko przygotowaniem do realizacji dalszych planów i zamierzeń Rosji Sowieckiej: amortyzacji olbrzymich kosztów włożonych w rozwój przemysłu wojennego, oczywiście z myślą już o zwycięstwach politycznych, a nie komunistycznym „apostolstwie" ideowym.

Całą grę Stalina przejrzeć nie trudno. Jeżeli zaś nawet możliwość realizacji owych ostatecznych planów moskiewskich odsuniemy w myślach na daleką przyszłość, pozostanie niewzruszona inna pewność: prawda o destrukcyjnej sile komunizmu i jej niebezpieczeństwie, grożącym Europie od wschodu i zachodu. Nie wszystkie państwa są na nie narażone bezpośrednio w równej mierze. (Np. Anglia jest w tym szczęśliwym położeniu, że tam nawet ludność robotnicza jest zdecydowanie przeciwna rozwiązywaniu swoich trudności na gruncie ideologii komunistycznej). Pośrednio jednak komunizm zagraża wszystkim.

Rządy państw obawiają się zachwiania potęgi politycznej i gospodarczej, społeczeństwa cofają się przed widmem krwawych scen z głodnej Rosji i Hiszpanii, Kościół wzywa do walki z antyreligijną i amoralną ideologią komunizmu.

Nic dziwnego, że Europa nie patrzy obojętnie na przebieg spraw toczących się w Hiszpanii.

Najenergiczniej wystąpiły Niemcy i Włochy, które oficjalnie uznały rząd

gen. Franco, odwołując swoich przedstawicieli z Madrytu. Portugalia również zerwała stosunki dyplomatyczne z czerwonym rządem madryckim.

Anglia stoi na stanowisku nie mieszania się w sprawy hiszpańskie, dążąc do zlokalizowania wojny, jasnym jest bowiem, że wyraźne poparcie czynne którejś ze stron walczących przez jedno z mocarstw przekształciłoby natychmiast konflikt hiszpański w zawieruchę wojny światowej. Zarówno Anglia jak Francja obawiają się pewnych zasadniczych komplikacji politycznych, na jakie by je naraziło wypowiedzenie się wyraźniejsze w tej kwestii.

Ale Włochy i Niemcy współdziałają energicznie w tworzeniu silnego frontu antykomunistycznego. Ostatnia wymiana wizyt w Rzymie i w Berlinie zacieśniła węzły pomiędzy tymi dwoma państwami, głośny zaś układ niemiecko-japoński z 25 listopada b. r. jest dowodem rozszerzenia akcji poza teren Europy — i poza hitlerowskie przesądy rasowe. Berlin usiłuje do współpracy wciągnąć różne państwa, względnie grupy polityczne państw innych. W październiku bawił w Berlinie przywódca faszystów angielskich Mosley. Niedawno złożył wizytę wódz faszystów bułgarskich Cankow. Podobno Hitler przyjął też na specjalnej audiencji przywódcę reksistów belgijskich Degrelle'a. Nawiązują też Niemcy stosunki z Rumunią, zaostrzając jednocześnie stan nieufności względem Czechosłowacji — aż do wzmożenia prac fortyfikacyjnych na pograniczu czeskim.

Włochy do frontu antykomunistycznego wciągnąć mogą przede wszystkim te państwa, z którymi już są w ścisłym porozumieniu. Głośno więc było w ostatnich czasach o zacieśnianiu stosunków w Austrią, Węgrami, a nawet Jugosławią.

Akcja państw kapitalistycznych rozwija się na coraz szerszym podłożu, a do stanowiska politycznego Polski przywiązuje się na zachodzie wielką wagę, ze względu na jej położenie geograficzne i rosnącą siłę wewnętrzną. Tworzy się front antykomunistyczny pod różnorodnymi, mniej lub bardziej oficjalnymi hasłami. Nawet Watykan wypowiedział się w specjalnej encyklice papieża i orędziach biskupów katolickich.

Bo walka z komunizmem — to walka o chleb, o życie, o narodowość, o wartości kulturalne, o potęgę polityczną — i o dusze.

Maria Traczewska.

(pisane w końcu listopada 1936 r.)

DO MATKI

Do góry żagle nocy — wypływam na połów
mgieł w trawie zaplątanych — uwięzłych w szuwarach . . .
— Ty bledniesz? Tak potrzeba — wciąż niżej — ku dołom,
ku wyrwom pełnym śmierci — matko moja stara . . .
Marzyłaś — syn daleko i wysoko — biały . . .
— O matko — jakoż wzlecieć, kiedy serce ciąży.
Zostanę już do końca w gorzkich dni uprzęży.
Płakały twoje oczy i będą płakały.
Wąwozem iść mi głuchym — ponurym parowem
i śpiewać — wołać pieśnią żelazem zakrzepłą . . .
— Nie żałuj. Połóż ręce na płonącą głowę. —
Na chłody — zawieruchy — chcę mieć rąk twych ciepło.

Władysław Podstawka.

Wart Pac pałaca...

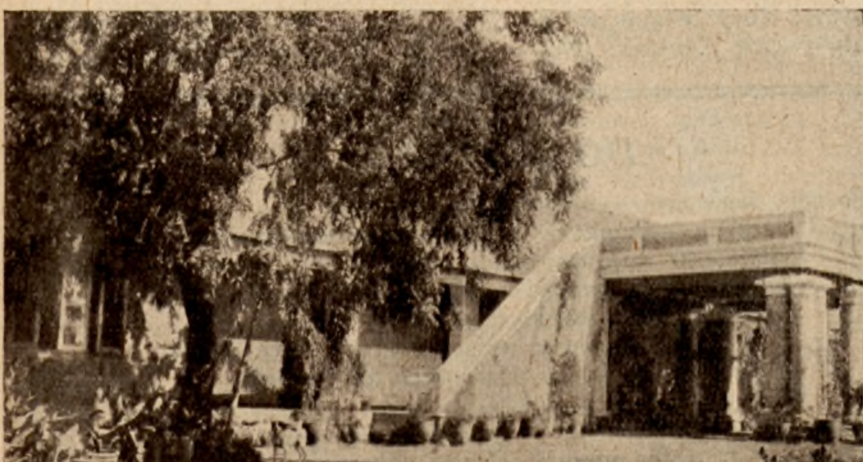
(Ze stosunków anglo-hinduskich.)

Obcować z Hinduską, zawrzeć z nią bliższą znajomość, a już bodaj raz rozmówić się szczerze na temat przysłowiowej jej niedoli, nie jest tak łatwo w Indiach, jak to sobie naiwnie wyobrażamy w Europie!

Bo gdyby nawet, posiadało się któreś z narzeczy tej „wieży Babel" — — język Tamil, czy Telugu (południe półwyspu), Urdu czy Hindi (północ), Pandżabi, czy Kaszmiri itd. — to jeszcze sprawy nie załatwi. Nawiązanie bliższego kontaktu z domowymi, ze swym milieu, (im kasta jest wyższa — tym surowiej przestrzegane są drakońskie obyczaje) — utrudni przedewszystkim sama Hinduska.. Hinduska poza ognisko domowe nie wysuwająca nosa, cudzoziemców witająca nieufnie... Utrudni i jej pan i władca, małżonek, trzymający ją wciąż w ukryciu, dla siebie, (98% Hindusek nosi wciąż pardah — zasłonę na twarzy) i kierujący jej życiem. Z drugiej strony spiętrzy się jeszcze jedna przeszkoda: antagonizm rasowy. Biali i kolorowi. Anglosasi i Hindusi. Trudno o głębsze rozbieżności psychiki i mentalności tych dwóch narodów! I na to nie ma rady: muru głową nie przebijesz.

Wojskowe sfery brytyjskie — a te tylko reprezentują Wielką Brytanię, udając się z rodzinami na „piekielny wschód", na stanowisko odpowiedzialne, no, i nie pozbawione niebezpieczeństwa, wraz z wysokimi poborami na odpowiednią, kolonialną stopę życia i pompę — pilnie kultywują prestige swego munduru i godność... najbielszego w swym mniemaniu obywatela pod słońcem! Mieszkają wyłącznie w dzielnicach europejskich, w uroczych bungalows i pałacykach, zdala od citi i bazarów hinduskich, tumultu, kurzu i zarazków wszelkiego rodzaju. Mieszkają u siebie — niczym w home angielskim i nie życzą sobie bliższego kontaktu z kolorowymi.

Jako obywatelka wolnej Polski, wyzbyta najzupełniej owych rasowych uprzedzeń — staczałam niejednokrotnie zawzięte boje z córami i synami dumnego Albionu — o większą swobodę



Bungalow Anglików.

ruchów. Dużo nie wskórałam, bo skoro wlazło się między wrony...

Zastanawiałam się zresztą niejednokrotnie, kto — kogo nie jest tu wart lub godzien? Hindus, należący do wyższej kasty, który uważa, że nie ma na kuli ziemskiej równego mu urodzeniem białego, (a więc i Anglosasa) czy vice-versa? Zagadki nie rozwiązałam: wart pac pałaca...

Nie rozumiem tego à la lettre, gdy chodzi o stosunki w sferach dyplomatycznych, handlowych, no i wśród ludzi kolonialnych, wychodźców z Anglii z dziada-pradziada, uważających Indie za drugą ojczyznę i nie tęskniących za własną... Są to przeważnie plantatorzy herbaty, kawy, kupcy i komersanci w wielkim stylu. Żenią się oni (co prawda b. rzadko) nawet z Hinduskami — ale też i ponoszą żałosne konsekwencje swej wolnomyślności, traktowani zazwyczaj przez rodaków z góry.

Cantonment europejski w Indiach odgrodzony zazwyczaj wysokim murem od reszty świata, symbol „splendid isolation", stosuje metodę zupełnej samowystarczalności. Własne wspaniałe magazyny z artykułami wyłącznie Made in England, własna stacja elektryczna, urząd pocztowy, szpital, kino angielskie, konie i limuzyny — no i kluby, kluby sportowe, boiska i korty, pływalnie i menaże.

Na terytorium podobnej „szklanej góry" przedostaje się tylko dostawca hinduski, czasem jakiś wykwalifikowany rzemieślnik, oraz liczna armia sprawnie wytresowanej służby kolorowej, której lojalność i uczciwość jest sprawdzona.

No, owszem, w szpitalach „białych" coraz częściej spotkać można doktorów i felczerów hinduskich; w pułkach — oficerów kolorowych, ludzi kształconych w Anglii, ogładzonych i zasłużonych, ale otoczenia ich domowego, żon, sióstr i dorastających córek, kształconych przeważnie w domu — nie ogląda się prawie nigdy.



Przejażdżka białego w Indiach.

Panie doktorowe czy profesorowe hinduskie ukazują się z rzadka na zebraniach towarzyskich, miejscowych, i to tylko w y ł ą c z n i e k o b i e c y c h. Nie grają wszak w bridge'a, nie piją coctail'ów, nie tańczą, nie uprawiają żadnych literalnie sportów, a głównie — bardzo rzadko które władają językiem angielskim lub francuskim. Cóż będą robiły na codziennych five'ach, bridge-partiach, turniejach sportowych? — Angielki ze swej strony bardzo mało interesują się renesansem kobiety hinduskiej.

Zjawisko współżycia towarzyskiego najkulturalniejszych sfer inteligencji hinduskiej i europejskiej jest rzadkie i zdarza się oczywiście w ośrodkach wielkomiejskich, zwłaszcza w stołecznym Delhi, Kalkucie, Bombaju, Madrasie, czy Agrze, gdzie zawsze o kontakt międzynarodowy jest łatwiej, gdzie się spotyka już coraz

liczniejsze grono studentek, artystek kinowych,*) pionierek ruchu kobiecego.

Są to jednostki wyjątkowe, nie chadzające wydeptanymi ścieżkami, ani też szerokim gościńcem życia hinduskiego. — Tak wybujałe pod względem intelektu i tak samotne, jak niebotyczne szczyty Himalajów. — Pierwsze jaskółki, które wiosny jeszcze nie czynią. Nie odsetki to nawet, a znikome wyjątki, przypadające na każdy milion kobiet w tym 350-milionowym kraju; spoziera się na nie z podziwem, lecz i z pewną dozą... nieufności. Nie każda zdobędzie się na odwagę płynięcia przeciw prądowi.

Cała olbrzymia reszta, miliony Hindusek ze sfer inteligentnych, (nie mówiąc już o masach!) nie przekraczają jeszcze zaklętego koła domowego. Równouprawnienie, które wywalczają dla ogółu ofiarne zresztą, jak wszędzie, krzewicielki postępu, zrywające odważnie z konserwatywnymi zastoinami, prawa obywatelskie, prawa do kształcenia dziewcząt w dowolnym kierunku, wchodzące w życie „Sarda Act", ustawa prawna wzbraniająca małżeństwa niepełnoletnich — to wszystko dopiero się rodzi... staje.



6-letnia dziewczynka niesie wodę.

Wywalczana zresztą tak żmudnie swoboda dla dzisiejszego pokolenia Hindusek, bodaj w kierunku dobrowolnego wyboru dozgonnego towarzysza życiowego, nie oznacza bynajmniej — minimalnej swobody w osobistym życiu Hinduski, gdy wychodzi ona za mąż! Tu najbardziej nawet postępowa społeczniczka hinduska staje bezradna wobec wiekowych przykazań religijnych. Z chwilą przestąpienia progu domu mężowskiego, osoba jego przesłoni każdej hindusce cały świat i wszystkie jego dzieje. On — uwielbiany, jak bóstwo i dzieci, jak najwięcej dzieci oraz nieprzerobiona robota w gospodarstwie — wypełni każdą chwilę jej życia! Zamknie się ona do końca życia w swym kole obowiązków, nieciekawa już poza swoją domeną — nikogo i niczego.

Najbardziej nawet wykształcona Hinduska pozostanie zawsze dla oka cudzoziemca nieprzenikniona. Zamknięta w sobie, opanowana, skromna i małomówna; zawsze też bardzo zażenowana i jakby zdziwiona, że ktoś obcy może się nią i jej dolą interesować. Atawistyczna nieśmiałość przebija się z każdego ruchu, z każdego spojrzenia kolorowej kobietki.

A dziewczęta hinduskie?? Te czarnookie, zwinne i żywe istotki, pobrzękujące nieprzeliczonymi świecidełkami i bransoletami na nogach i rękach? Figlarne podobno, jak rozdokazywane kociaki w gronie domowników — milkną jak trusie, gdy się zdarza rzadka okoliczność zetknięcia się z kimś obcym.

Czyż można się dziwić?

Jak dotąd, bardziej niż skąpe wykształcenie otrzymują w domu, ledwo

*) Pierwsza kobieta-artystka ukazała się na deskach teatru w r. 1925! Dotychczas role kobiece grali mężczyźni.

odrosły od ziemi zaprawiane do obowiązków w gospodarce domowej. W Indiach rodziny mieszkają zazwyczaj całymi klanami. Dziadkowie, rodzice, synowie z własnymi już rodzinami, żeniący się wnuki i t. d. i t. d. W babińcu klanowym panuje surowa etykieta: młodsze muszą wysługiwać się i być posłuszne starszym wiekiem. Roboty w takim ulu - domu nigdy nie zabraknie: przy przyrządzaniu potraw narodowych, do których pierwsi i osobno zasiądą mężczyźni, w ogrodzie, przy dzieciach.

Dzieciństwo beztroskie kolorowej smarkatej jest bardzo krótkie. Wcześniej od swych siostrzyc z Zachodu wchodzi w krąg obowiązków pomagając matce, ciotkom, babce. Nauczy się jako-tako czytać, rachować (5 dziewczynek na 1000!) przede wszystkim zaś śpiewać żałosne i piękne pieśni religijne oraz obchodzić z pietyzmem nieprzeliczone święta hinduskie. Nasłucha się przy tym stu przykazań za każde wydarzenie życiowe i w 15 roku życia, dojrzała i umiejąca sobie już doskonale radzić w gospodarstwie domowym — wychodzi za mąż.

Zaradna i swobodna u siebie w domu, ze swoimi — gotowa się zapaść w ziemię i uciec, gdy w domu rodziców zjawi się jakaś obca, o dziwnie białej twarzy pani, dziwacznie ubrana w suknie, których się nie widziało i zacznie do niej przemawiać językiem angielskim, którego nie rozumie...

Hanna Skarbek.

Zwycięstwo!

Służący odchylił ostrożnie drzwi i zajrzał do pracowni swego pana. Ujrzał znajomy widok skromnej pracowni. Na prostym stole paliła się lampa, a pod światłem bieliła się głowa profesora Ludwika Pasteura. Leżały przed nim rozrzucone kartki papieru, kilka szklanych próbówek, słoiki jakieś i dwa duże mikroskopy. Profesor Pasteur pracował. W lewej dłoni trzymał próbówkę, napełnioną mętnym, żółtawym płynem, w palcach prawej dłoni trzymał gęsie pióro. Pióro posuwało się po kartce szybkim, nerwowym ruchem.

— Hm, hm!... — zmartwił się służący w myślach. — Już znowu wypadnie mi tu siedzieć do późnej nocy!...

Wiedział bowiem z doświadczenia, że jeżeli pan profesor pisze, a od czasu do czasu patrzy w próbówkę, trzymaną w lewej dłoni, znak to nieomylny, iż skończy pracę kiedyś, nad ranem. Paryskie zegary będą wydzwaniały godziny za godzinami, za oknami nastanie ogromna cisza, a tylko zegar będzie tykał miarowo na ścianie, gęsie pióro zaś będzie skrzypiało bez przerwy po papierze .

Profesor Pasteur posłyszał szelest przy drzwiach. Podniósł głowę, przymrużył krótkowzroczne oczy za okularami, wpatrzył się w półmrok przy drzwiach.

— Kto jest? — zapytał.

— To ja, Henryk.

— No, i co? Już przyszli panowie Vulpian i Grancher?

— Czekają w drugim pokoju.

— A chłopiec?

— Płacze... Boi się bardzo...

— A matka?

— Też płacze...

Służący podczas rozmowy podszedł do ściany i zerwał kartkę z dużego kalendarza ściennego. Profesor Pasteur podniósł oczy i ujrzał datę. Pomyślał coś chwilkę, potem wstał i podkreślił liczbę gęsim piórem. Dwa razy. Następnie otworzył gruby kajet i przepisał ją na czystej stronicy.

— Szósty czerwca... roku 1885 — mruczał, powtarzając pisane słowa i liczby.

— Henryk! — zawołał.

— Słucham, panie profesorze!

— Proszę powiedzieć panom Vulpianowi i Grancherowi, że zaraz przyj-



lę. A matka niech odejdzie!... Niech dzie stąd!...

Służący zniknął za drzwiami. Nałała znowu cisza. Ludwik Pasteur amyślił się głęboko. Wsparł łokcie ıa poręczach fotelu, głowę ukrył v dłoniach, oczy przymknął. I znowu najomy obraz z dziecinnych lat.

Oto widzi się w dalekiej wiosce we vschodniej Francji, w Arbois. Wyiegł z ojcowej garbarni na drogę, bo osłyszał jakieś krzyki i wrzawę ludzą. Miał wtedy dziewięć lat. Przed kunią dojrzał zbiegowisko. Przecisnął ię przez tłum chłopów i kobiet. V środku stał wieśniak Nicole.

— Wściekły wilk pokąsał biedaa!... Kowal wypala mu rany rozżazonym żelazem!... — objaśnił go ktoś.

Wśród zmieszanych głosów posłyzał teraz wyraźnie syk ciała, przypaıego rozpalonym do białości żelaem, a potem krótki krzyk boleści. ciekł przerażony do domu.

— Tatusiu, powiedz mi, dlaczego wilki i psy stają się wściekłe? Dlaczego umierają ludzie pokąsani przez nie? — pytał potem ojca, kiedy Nicole umarł w męczarniach, a wraz z nim osiem ofiar wściekłego wilka.

Garbarz Pasteur, ojciec małego Ludwika, nie umiał odpowiedzieć.

— Nie wiem, synku!... — rzekł, rozkładając dłonie. — Widać djabel wchodzi do wilka czy do psa i, gdy Bóg chce, trzeba umierać od ich ukąszenia. Na to nie ma już rady!..

Ojciec powiedział, że na to nie ma rady.

— A ja jednak znajdę radę! — pomyślał wtedy Ludwiczek i szukał tej rady przez 54 lat. I zdaje mu się, że dzisiaj już ją znalazł. Oto po drugiej stronie laboratorium, w małym pokoiku leży chłopiec, pokąsany przez wściekłego psa. Nieszczęśliwa matka, pani Meister z Meissengott w Alzacji przywiozła mu go dziś i na kolanach błagała, żeby ratował jej 9-letn. synka.

— Niech mi pan ratuje synka! Ratuj go pan, panie Pasteur!... — błagała, trzymając w ramionach płaczącego z bólu chłopca.

Profesor Pasteur stał milczący przed matką i patrzał na dziecko pokryte ranami.

— Boże, co tu uczynić? — bił się z myślami. — Przecież tu chodzi o życie ludzkie! Jeżeli nie podejmę się ratunku, dziecko skona w strasznych męczarniach. A jeżeli spróbuję ratować je i dam mu zastrzyk z osłabionej mieszaniny mikrobów wścieklizny, a ono również umrze, w większych może jeszcze męczarniach, to co potem?... — Przez całe swoje pracowite życie szukał odpowiedzi na to pytanie, które kiedyś zadał ojcu. Co jest powodem wścieklizny u psa i wilka? Dlaczego ludzie umierają z powodu ich ukąszenia?

Ileż to nocy nieprzespanych strawił na rozwiązanie tej strasznej zagadki. Ileż to razy zdawało mu się, że już, już jest u celu, a okazało się, że

jeszcze nie zdołał zgłębić tej tajemnicy. I po długich i żmudnych badaniach doszedł do przekonania, że wściekliznę wywołuje bakcyl, rozwijający się w mózgu zwierzęcia, dotkniętego tą chorobą. I po wielu próbach przekonał się, że odpowiednio spreparowany i wysuszony mózg takiego zwierzęcia traci częściowo swą siłę, wskutek czego zarazek staje się słabszy. I jeżeli przez zastrzyk wprowadzi cząsteczki takiego osłabionego zarazka pod skórę zdrowego zwierzęcia, to ukąszenie wściekłego psa nie wywołuje u niego wścieklizny. Co więcej!... Przekonał się, posługując się najpierw królikami a potem psami, że jeżeli co kilka dni wprowadzi im przez zastrzyk pod skórę coraz silniejsze cząsteczki mózgu psa, chorego na wściekliznę, organizm zdrowych zwierząt staje się odpornym przeciwko wściekliźnie.

Dzisiaj po raz pierwszy miał wypróbować tamtą szczepionkę na człowieku. Leży teraz biedaczyna chłopiec, pokąsany w czternastu miejscach, i czeka jego ratunku.

— Boże mocny!... — szepnął, składając dłonie jak do pacierza. Oparł głowę na stole, złożone dłonie wyciągnął przed siebie i znieruchomiał jak w najgorętszej modlitwie. Długo to trwało. Potem wstał, spojrzał jeszcze raz na ścienny kalendarz i powtórzył:

— Szósty czerwca 1885 roku...

W małym pokoju po drugiej stronie laboratorium zastał obu lekarzy, co z nim razem pracowali. Byli to doktorzy Vulpian i Grancher. Stali w białych fartuchach lekarskich obok łóżka, na którym kwilił mały synek pani Meistrowej.

Ukłonili się, kiedy wszedł profesor Pasteur z narzędziami i próbówką.

— Więc co, panowie? — zapytał niepewnie jeszcze.

— Spróbujemy! — rzekł Vulpian o błękitnych, łagodnych oczach.

— Tak, mistrzu! — poparł go gruby doktór Grancher. — Nie ma się co namyślać! Dziecko skazane na śmierć w męczarniach... a jeżeli poddamy je szczepieniu, istnieje możliwość uratowania mu życia...

— A więc zaczynajmy... w Imię Boże!... — szepnął religijny profesor.

Chłopiec przestał kwilić, wpatrując się niespokojnie w obce twarze. Matka odeszła przed chwilą. Powiedziała, że przyjdzie nazajutrz rano i przyniesie mu cukierków. Kiedy odchodziła, wyprowadzona przez służącego, płakała rzewnie.

Profesor Pasteur z lekarzami przystąpił do łóżka.

— Nie chcę!... Nie chcę!... — zaczął teraz krzyczeć chłopiec, zasłaniając się dłońmi.

— Cicho, nic ci nie będzie!... — jął go uspokajać doktor Vulpian, lecz chłopiec był Alzatczykiem i dlatego niewiele rozumiał, co tamten mówi.

— Nie płacz, mały!... — rzekł teraz profesor Pasteur, który znał tro-



chę gwarę alzacką. — Chciałbyś cukierka? — i nie czekając odpowiedzi, zwrócił się do służącego Henryka, polecając mu przynieść cukierków.

— Tu masz dwa franki, a szybko wracaj!... — rozkazał.

Chłopiec przestał płakać. Profesor Pasteur usiadł na brzegu łóżka i głaskał go po twarzy. W oczach profesora było tyle dobroci i ciepła, że chłopiec zaczął się uśmiechać.

— Widzisz!... — mruczał profesor Pasteur. — Henryk przyniesie cukierki, ogromnie dobre cukierki, a tobie damy taki cukierek do dzióbka, a ty cmok!... A cukierek ogromnie słodki. A potem drugi, a potem trzeci i tak ciągle, aż wszystkie będą już w twoim brzuszku!... A potem będziesz zdrowy i już będzie wszystko dobrze. Zobaczysz!...

Udawał przy tym, że sam smakuje ów cukierek, i tak zabawnie cmokał, że chłopiec, zapomniawszy już zupełnie o swej obawie, raz po raz wybuchał śmiechem i klaskał w dłonie.

Przyszedł zziajany służący z cukierkami.

— No, tu oto taki piękny biały cukierek... — zaczął znowu profesor Pasteur — no, otwórz buzię... fik!... Już jest w buzi!... Dobry?

— Dobry! — przyświadczył chłopiec.

— A tu masz drugi... fik!... Już jest w buzi!... — i drugi cukierek znikł w ustach chłopca.

— A teraz nie ruszaj się... uczynimy zastrzyk, żebyś był zdrowy!...

— Będzie boleć? — polękał się znowu chłopiec.

— Ale gdzież tam!... Troszkę, jakby pchełka ukąsiła!...

Nachylili się wszyscy trzej nad nim, oczyścili ramię eterem, wytarli zwitkiem waty, uczynili zastrzyk.

— Au!... — zawołał chłopiec, lecz znowu się uśmiechnął, bo trzeci cukierek znalazł się w jego ustach.

Potem profesor Pasteur wyszedł, a przy chłopcu zostali tamci dwaj lekarze. Profesor Pasteur stanął przy oknie na korytarzu. Otarł ze skroni drobny pot, przyłożył dłoń do serca, które tłukło się w starych piersiach ze wzruszenia.

— Stało się!... — szeptał. — Teraz daj, o Boże, żeby mój trud przyniósł pożytek ludziom...

Za oknami była ciemna noc. Profesor Pasteur podniósł oczy i ujrzał na niebie nieprzeliczone mrowie gwiazd.

— Ty Boże, coś gwiazdy stworzył... — jął znowu szeptać jakąś dziwną, długą, gorącą modlitwę.

Profesor Ludwik Pasteur wiedział, że choroba wścieklizny u chłopca powinna rozwijać się wolno przez kilka, albo nawet przez kilkanaście dni od chwili ukąszenia. To samo działo się z królikami i psami, pokąsanymi przez zwierzęta, cierpiące na tę straszną chorobę. I przekonał się, że owe psy i króliki nie zachorowały. Przez kilkanaście dni bowiem dawał im zastrzyki, co je zdołało uodpornić przed wybuchem choroby. Czy to samo nastąpi z jego pacjentem? Przez trzy tygodnie będzie mu dawał zastrzyki coraz silniejszych dawek zarazka wścieklizny. Jeżeli zastrzyki te zdołają uodpornić jego organizm, wtedy choroba nie wybuchnie. Lecz jeżeli nie potrafią tego uczynić? Boże święty, co wtedy?

Nastały teraz dni radosnych nadziei, po których następowały chwile strasznego zwątpienia i niewiary. Profesor Pasteur przeżywał ten okres jak w gorączce. Nie opuszczał na krok chłopca, noce spędzał przy jego łóżku, wpatrując się niespokojnie, czy nie następują objawy nadchodzącej choroby. Drżał z obawy i truchlał, jeżeli chłopiec rzucał się niespokojnie podczas snu, uśmiechał się uradowany, gdy chłopiec bawił się w ogrodzie, przylegającym do laboratorium.

Często przychodził do swojej pracowni i patrzał do kajetu, gdzie zapisał tamtą datę: 6 czerwca 1885 roku. Rozumiał, że będzie to data zwycię-

stwa nauki nad groźną, dotychczas nieuleczalną chorobą, albo też data jego klęski.

Szczepienia odbywały się przez trzy tygodnie. Kiedy w końcu ostatni dzień minął, a mały Meister nie zachorował, pojął nareszcie, że zwyciężył. Wzruszony ściskał dłonie Vulpiana i Granchera.

A kiedy potem matka na klęczkach chciała mu dziękować za uratowane życie jej dziecka, profesor Pasteur bronił się, wymawiał zakłopotany.

— Proszę mi nie dziękować — tłumaczył jej wzruszony. — Odnieśliśmy zwycięstwo nad wielkim wrogiem człowieka, to prawda. Już od dzisiaj nie będą konali ludzie, pokąsani przez wściekłe psy czy wilki. Lecz... to nie mnie należy się podziękowanie...

— Komuż mam dziękować, jak nie panu, panie profesorze?... — mówiła matka przez łzy.

— Komu? — powtórzył za nią. — Temu dziękujcie! — rzekł uśmiechnięty, wskazując dłonią na niebo.

Gustaw Morcinek.

VIII klasa jedzie na Śląsk

(Dokończenie.)

Curiosum Śląska stanowi Huta Królewska. Zwiedzałyśmy ją celowo po południu aż do późnego wieczora, gdyż chodziło nam o efekta świetlne. W hucie przetapiają rudę żelazną.



Śląsk. Huta im. Marszałka Piłsudskiego.

Widziałyśmy wielkie piece, o których tak wiele mówi się na fizyce, a jednak tak mało się o nich wie. Taka wizja lokalna rozjaśnia wiele rzeczy.

Z pieca takiego bije żar już na kilka metrów. W pewnym momencie buchnęło roztopione żelazo, jak rozżarzona lawina i korytem mknęło do zbiornika. Złoto-miedziana kaskada płynęła obficie, wywołując fantastyczne wprost efekty.

Wspaniale wyglądały zbiorniki z żelazem roztopionym do białości. W innych częściach huty dobywają się z pieców mufowych płomyki gazu o przepięknym seledynowym kolorze. Co za gra barw! Ma się wrażenie, że to świat bajki. Trudno uwierzyć, że tam, gdzie przeżywałyśmy prawdziwe miraże, toczy się tak ciężka, często niebezpieczna dla życia, praca.

W innej hali, spod walców wypadały węże żelazne, przewijały się jak serpentyna... i coraz mniejsze wężyki mknęły przed oczyma jak złoto-czerwone błyskawice.

Późnym wieczorem wracałyśmy z huty. Z daleka widziałyśmy ją, jakby gorejącą. Czerwone paszcze pieców wysyłały w dal swe płomieniste pożegnanie za odjeżdżającymi.

A w niedzielę, w dzień imienin wojewody Grażyńskiego, ulice Katowic przybrały odświętnie uroczystą szatę. Zaroiło się od różnobarwnych sukien Ślązaczek. W regionalnych strojach, w zwartych szeregach, szły dumne matrony śląskie w białych czepcach pełnych powagi, szły małe Ślązaczki w wysokich wiankach na głowie. Szli czarni górnicy w odświętnych uniformach, smutni ludzie, którzy tak rzadko oglądają słońce. Śląsk śpieszył z wyrazami pamięci, dla swego wojewody.



Katowice. Fabryka porcelany Gieschego. Kobiety znaczą i sortują wyroby.

Wracamy. — Żegnamy Śląsk. Jesteśmy zachwycone uprzejmością i gościnnością „pieronów" śląskich.

Zdałyśmy sobie sprawę z bogactw Śląska i jego znaczenia dla Polski.

A teraz — niech nam wolno będzie jeszcze tą drogą złożyć podziękowanie Panu Doktorowi J. Bachledzie, który poświęcił nam bardzo wiele swego cennego czasu i umożliwił dostęp do różnych osobliwości Śląska.

Marysia Horwath
kl. VIII gimn. 643.

Najoszczędniejsza kobieta w Anglii

Była nią od wczesnej młodości i jest do dnia dzisiejszego królowa Mary, wdowa po królu Jerzym. Osoby stojące bliżej dworu angielskiego, dowodzą, że w pięknym pałacu buckinghamskim nigdy nic nie szło na marne. Rozrzutność karcona jest surowo. Każdy większy wydatek obmyślany przezornie. Królowa Mary słynie szeroko w kraju jako wzorowa gospodyni i najtkliwsza opiekunka biednych. Mimo podeszłego już wieku i częstego zapadania na zdrowiu, czynną jest przez cały dzień, lubi być obecną przy każdej pracy we dworze, przy robieniu większych porządków, odnawianiu tych lub innych fragmentów obszernego pałacu, przygotowywaniu przysmaków kulinarnych dla wnuków.

Pasją jej od chwili wstąpienia na tron brytyjski, gdy została pełnowładną panią, było doprowadzenie wszystkich rezydencji królewskich do wzorowego porządku z zachowaniem stylów.

Królowa angielska przez całe swe życie uległa była ślepo starym tradycjom i ubierała się i zachowywała się tak, jak elegantki z przed 40 lat. Staromodne długie suknie, przedwojenne uczesanie, małe, nie spotykane już dzisiaj loczki na głowie. Złośliwi twier-

dzą, że królowa nie sprawia sobie wogóle nigdy nowych sukien — a wciąż donasza swe wyprawne... Karci też surowo nowoczesną modę, nie lubi elegantek XX stulecia z obciętymi włosami, w krótkich sukniach i z wyszczypanymi brwiami.

Rok rocznie, na długo przed nastaniem gwiazdki, królowa Mary obmyśla skrupulatnie prezenta dla całej rodziny, licznego swego dworu i licznych pupilów i pupilek, którymi się opiekuje. Doskonale orientuje się, co komu jest potrzebne i co sprawi największą radość. Począwszy od połowy listopada królowa rozpoczyna „wędrówkę" po sklepach londyńskich w asyście swych dam dworskich i osobiście wybiera prezenta. Są to najulubieńsze wycieczki wielkiej tej damy — stanowią one też hasło do rozpoczęcia kampanii przedświątecznej w Anglii. Wszystko to bowiem, co monarchini wybierze na upominek gwiazdkowy w tej lub innej branży przemysłu (tylko krajowego): zabawki dla wnucząt, biżuteria dla synowych, materiały czy inne drobiazgi tualetowe dla personelu dworskiego — będzie sygnalizowane natychmiast w prasie i stanie się nakazem mody...

Każda przezorna niewiasta w Anglii pośpieszy również z załatwieniem tych sprawunków, wybiera mniej więcej to samo, co królowa — tylko na mniejszą skalę i przyzna rację swej władczyni, że wybrane bez pośpiechu i z namysłem prezenta są pożyteczniejsze, a i daleko tańsze, niż w ostatnich, gorączkowych tygodniach przedświątecznych.

H. S.

Ci, o których się nie myśli...

Praca nad więźniami stanowi jedną z piękniejszych i bardziej odpowiedzialnych placówek, objętych społeczną działalnością naszych czasów. Niestety, ludzi interesujących się tą gałęzią pracy jest bardzo niewielu. Ogół społeczeństwa wykazuje zupełną bierność, nie rozumiejąc znaczenia społecznego więzień, nie starając się wniknąć głębiej w ich cel i założenie, od którego w życiu zdarzają się zawsze niemal daleko idące odchylenia.

Mówiąc o więzieniu bierze się najczęściej pod uwagę czynnik kary, rozprawia się też wiele i uczenie o konieczności „izolacji ochronnej", by uniknąć zakażenia zdrowych członków społeczeństwa od chorych. A to przecie nie może i nie powinno stanowić jedynego celu, jedynej podstawy istnienia dzisiejszego więzienia, zreformowanego w ciągu ostatniego stulecia w myśl wymagań humanitarnych. W szpitalach dla zakaźno chorych lekarze również powodują się myślą, by nie dopuścić do rozprzestrzenienia się zarazy na ogół społeczeństwa, ale zarazem główne starania skierowane są na to, ażeby zapewnić chorym jak najlepsze, najodpowiedniejsze dla nich warunki i przez racjonalne leczenie przyśpieszyć ich powrót do zdrowia. Podobnie też i więzienie, mające odpowiedzieć w pełni swemu zadaniu, powinno uwzględniać w bardzo szerokiej mierze, jeśli już nie w pierwszym rzędzie, czynnik wychowawczy, który miałby na celu głębsze dobro więźniów, ich poprawę i oczyszczenie duchowe, a przez to samo przygotowanie ich do powrotu do zdrowych, normalnych warunków życia. Dlatego też w poczynaniach społecznych coraz wyraźniej zarysowuje się dążenie, konkretyzujące się już w niektórych krajach, by więzienia zamienić przynajmniej częściowo na domy poprawcze, domy pracy itd.

Tak więc, jak w szpitalu leczy się ciała, tak w więzieniu powinno się leczyć dusze ludzkie, i właściwie, ażeby osiągnąć odpowiednie wyniki, powinno się leczyć każdą z nich indywidualnie jak lekarz bada i leczy każdego pa

cjenta oddzielnie. Piękna ta zasada stanowi w życiu ideał niemal nieosięgalny, zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę, że przestępczość po wojnie wzrosła w zastraszający sposób i wciąż wzrasta. W domu więziennym, liczącym po paręset osób różnego wieku, stanu, pochodzenia i stopnia przestępczości nie podobna myśleć o zajęciu się każdym z osobna. Zarząd i cały personel więzienny jest przeciążony pracą i może dbać tylko z grubsza o zachowanie regulaminu, naznaczając kary za nieposłuszeństwo, rozdając drobne nagrody za starania i na nic więcej nie starczy już czasu, ani sił. Pozostaje tedy ogromne pole działania nie wykorzystane, w którym powinni przyjść w pomoc patronatowi i zarządowi więzienia ludzie z zewnątrz.

Rola ich właśnie polega na oddziaływaniu na więźniów i to zarówno zbiorowym — przez pogadanki, odczyty, organizowanie rekolekcji, świąt itd., jako też indywidualnym — przez odwiedzanie więźniów w ich celach, wysłuchiwanie ich zwierzeń, ażeby przez systematyczną, nieraz na całe miesiące i lata zakrojoną pracę, starać się naprostować ich życie, rozjaśnić spaczone poglądy, rozbudzić sumienia, otworzyć oczy na zło itd.

Największe znaczenie mają oczywiście te pogadanki w cztery oczy w samotnych celach. Władza więzienna, oceniając ich znaczenie, a lękając się zarazem słusznie niepożądanych wpływów z zewnątrz, udziela tego ostatniego pozwolenia z wielką ostrożnością, osobom już najbardziej zaufanym i pewnym. Tak na przykład w Warszawie przywilej chodzenia po celach posiadają w więzieniach dla kobiet tylko i wyłącznie SS. Dominikanki, mające w tradycjach swego zakonu niezrównaną działalność więzienną swej wielkiej świętej, — Katarzyny Sieneńskiej. Osobom świeckim, zgłaszającym swój udział do pracy, zostają najczęściej powierzone odczyty, pogadanki i wywiady u rodzin więźniów.

Władze więzienne wolą na ogół mieć do czynienia z osobami duchownymi niż ze świeckimi, znając już z doświadczenia ich systematyczną pracę, poświęcenie i dobroczynny wpływ na więźniów.

Sami więźniowie również odnoszą się do nich z większym zaufaniem, niż do innych. Przestępca, więzień, przeżywający prawdziwie swą tragedię, unika niedyskretnych, ciekawych oczu. Głęboki ból ma zawsze pewną wstydliwość i dumę i nie chce urządzać ze swych przeżyć widowiska. Dlatego też na ludzi świeckich spogląda więzień z pewnego rodzaju podejrzliwością, bojąc się, by nie podchodzili do niego od strony sensacji i natrętnej ciekawości. Habit zakonny i sutanna dają niejako gwarancję czystości intencji.

Głównym zadaniem pracy apostolskiej odpowiednio pojętej jest dopomóc więźniowi w dojściu do porządku ze sobą i odzyskaniu równowagi duchowej. Najłatwiej cel ten osiągnąć przez oderwanie myśli jego od siebie samego, a skierowanie jej ku wyższym, szlachetniejszym rzeczom.

Każdy zbrodniarz odczuwa podobno nieprzeparty pociąg, by powrócić na miejsce popełnionej zbrodni. Dlatego to dusza więźnia długo nie może się uwolnić od widma popełnionego przestępstwa. W samotności i pustce więziennej celi przesuwa się przed nim obraz po obrazie cała przeszłość, zmartwychwstają przeżyte wrażenia, uczucia, motywy przestępstwa. W duszy słabej przeważnie, zgnębionej przeżyciami, a pozbawionej kierunku powstaje zupełny chaos. Przeszłość zapadła się w ziemię — przyszłości nie widać.

Trzeba do każdej z tych dusz znaleźć odpowiednią drogę, — do każdej inną, skoro nie ma dwóch dusz, któreby jednakowo reagowały na przeżycia i nie ma też dwóch więźniów, którzyby w jednakowy sposób przyjęli karę wyznaczoną im przez społeczeństwo. Jedni pogrążają się w bezgranicznej rozpaczy, (u kobiet więźniarek łączy

się to często z histerią), inni zacinają się w zimnej zawziętości na siebie, na cały świat, na wszystko i wszystkich, po innych znów najgorsze przeżycia zdają się spływać, nie pozostawiając żadnego wrażenia. Najrzadsi, niestety, są ci, którzy odrazu uznają swą winę i przyjmują karę więzienną, jako należną pokutę za grzechy.

Jest to oczywiście jedyny słuszny punkt widzenia i ideałem owocnej pracy byłoby doprowadzić wszystkich więźniów do zrozumienia winy i poddania się naznaczonej karze, nie pod przymusem, jako złu nieuniknionemu, lecz świadomym, dobrowolnym aktem woli. Nie jest to jednak wcale rzeczą łatwą wykazać człowiekowi zgnębionemu i cierpiącemu, że jego przymusowe usunięcie z życia i publiczne napiętnowanie, może mu posłużyć za stopień do podźwignięcia się wzwyż i do uszlachetnienia duchowego. A jednak znam osoby, które z całym przekonaniem stwierdzają, że zdarzyło im się spotkać w swej pracy więziennej dusze prawdziwie wybrane, najzupełniej przez cierpienie oczyszczone i odrodzone.

Opieka nad więźniami nie kończy się jednak bynajmniej z chwilą odbycia kary i wypuszczenia ich na wolność. Wprost przeciwnie, powinna stać się wtedy jeszcze bardziej czujna i wytężona, by za wszelką cenę uchronić więźnia od ponownego upadku i utrzymać go na powierzchni. A niebezpieczeństw i trudności nie brak.

Jednym z najważniejszych zadań patronatu jest postawienie byłego więźnia w normalnych warunkach życia i dostarczenie mu odrazu pracy, wiadomo bowiem, że powodem wielu bardzo przestępstw i wykroczeń jest skrajna nędza. Ale tu właśnie natrafia się zazwyczaj na nieprzezwyciężone trudności.

Kryzys w Polsce wszystkim daje się dobrze we znaki i znalezienie pracy dla nikogo nie jest łatwym, ale staje się niemal zupełnie beznadziejnym, gdy chodzi o dostarczenie jej byłym więźniom. Człowiekowi powracającemu do życia po odbyciu całkowitej kary, który zatem wedle wszelkich przepisów prawnych jest oczyszczony z zarzutów i wolny od winy, nikt nie chce podać pomocnej ręki. Zdawałoby się, że pobyt w więzieniu, stanowiący w większości wypadków etap krótki i przejściowy, wycisnął na nim piętno, którego nic zatrzeć nie zdoła. Trudno opisywać tu wszystkie rozdzierające sceny, jakie rozgrywają się nieraz, gdy mąż wzbrania się przyjąć do domu żonę powracającą z więzienia, gdy dzieci wypierają się ojca, a każdy wskazuje mu drzwi i odmawia pracy u siebie, dowiedziawszy się, że ma przed sobą więźnia.

Nie jest to doprawdy chrześcijańskie, ani nawet ludzkie postępowanie. Chrystus inny przykład pozostawił po sobie. Ale ludzie, sami grzeszący, nie wybaczają nigdy bliźniemu jego upadku, odwracając się od niego w najcięższej chwili, kiedy jeden przyjazny ruch, jedno dobre słowo może zaważyć na całym jego przyszłym życiu.

Zachowując całą ostrożność i konieczną roztropność, trzeba zawsze dać człowiekowi możność rehabilitacji i pozostawić mu furtkę do powrotu. Paroletni pobyt w więzieniu stanowi już sam przez się dostateczną karę, by zwolnić więźnia z pod pręgierza opinii publicznej. Najsurowszy kodeks karny nie przewiduje dwóch kar za jedno przestępstwo, gdyż sprzeciwia się to etyce i zamyka drogę do poprawy.

Nie każdy jest powołany do czynnej pracy wśród więźniów; wymaga to specjalnego przygotowania, wyrobienia i powołania. Ale modlitwa w ich intencji, drobne uczynki miłosierne i czynne wspieranie „domów pracy", zakładanych dla tych, którzy po wyjściu z więzienia nie mają co ze sobą począć, są dostępne niemal dla wszystkich i stanowią poniekąd obowiązek każdego chrześcijanina.

Wanda Kieszkowska.

Z odwiedzin w „Domu Pracy“

Patronat więzienny, to instytucja, do której należą w K. głównie panie z Kongregacji Mariańskiej. Praca Patronatu jest bardzo rozległa. Przedewszystkim, jak sama nazwa wskazuje, obejmuje on opiekę nad więźniem i jego rodziną. Członkowie Patronatu odwiedzają więźniów, załatwiają im różne sprawy urzędowe, rodzinne, starają się u władz sądowych o przerwy dla więźniów, przeważnie 3-miesięczne, w celu zajęcia się rodziną, pozostającą zwykle bez środków do życia. W razie dobrego sprawowania się więźnia Patronat stara się o uzyskanie dla niego pracy po opuszczeniu więzienia.

Rodzinami więźniów opiekuje się Patronat w ten sposób, że udziela im zapomogi w prowiantach, rzadziej w gotówce, ze względu na szczupłe środki materialne, jakimi sam rozporządza.

Placówką Patronatu więziennego jest Dom Pracy dla kobiet i Pogotowie Opiekuńcze dla nieletnich dziewcząt i chłopców.

„Dom Pracy“ — „Dom łez“, jak go określiła sama kierowniczka, przedstawia się całkiem wesoło. Nad Rudawą, w ogródku, stoi sobie mała willa, jasno otynkowana, kryta czerwoną dachówką, przy domu pies oszczekuje gorliwie wszystkich zbliżających się.

Wewnątrz małe, jasne pokoiki o dużych oknach, skierowanych w większej części na południe; pokoiki urządzone są skromnie, ale bardzo czysto. Na górze sypialnie, również nadzwyczaj czyste, łóżka białe, starannie zaścielone białymi kapami, całość sprawia wrażenie miłe.

Na parterze kuchnia, łazienka, kancelaria i świetlica. Tu właśnie koncentruje się życie małego domku. Przy jednym stole kilkanaście czysto ubranych kobiet zajmuje się szyciem. Przy drugim stole dziewczęta, zajęte robieniem guzików lub haftowaniem. Na twarzach ciekawość, znużenie, a czasem niezadowolenie. Nierzadko zdarza się wyraz twarzy anormalny, jakiś zwierzęcy.

Bo też różne jednostki są w tym domu. Przestępczynie po wyjściu z więzienia znajdują tutaj przytułek na jakiś czas, dopóki nie pogodzą się znowu ze światem, nie pogodzą się z rodziną, lub też dopóki nie znajdą pracy.

Są tu także odsyłane kobiety, po raz pierwszy oskarżone, aby w czasie śledztwa i rozprawy nie musiały przebywać w więzieniu, które wyciska na człowieku niezatarte znamię. W razie dobrego sprawowania się tych kobiet, Patronat czyni starania o złagodzenie wyroku i w ten sposób unikają one często kary więziennej.

Prócz tego doprowadzają tutaj dziewczęta z ulicy, żebrzące, lub też wałęsające się bez celu.

Po przeprowadzeniu przez policję wywiadu odsyła się je do rodziców lub do gmin rodzinnych, o ile są sierotami, a czasem do sierocińców.

Przez czas pobytu tutaj kobiety uczą się szyć, gotować, prać itd. Przeprowadza się nawet 3-miesięczne kursy szycia, po których uczestniczki dostają świadectwa, ułatwiające im potem pracę zarobkową szyciem.

Prócz zajęć praktycznych, uczą się tu dziewczęta czytania, pisania, rachunków i religii.

W Patronacie nad Rudawą znajduje się nadto kilkoro dzieci, dziewczynek i chłopców. Są to dzieci więźniów, nie mające innej opieki. Uczęszczają one do ochronki w mieście.

Widziałam tu wśród innych dzieci trzyletniego Władzia: drobny, różowy, uśmiechnięty. Ojciec jego w tym roku został zasądzony na 15 lat więzienia. A co z Władkiem będzie przez ten czas?

W domu tym nie wolno opowiadać sobie nawzajem o żadnych przejściach poprzednich — ma tu panować praca i zadowolenie. Czy to zawsze możliwe, nie wiem, gdyż przejścia moralne kobiet, zanim się tu dostały, były przeważnie bardzo ciężkie.

Jest tu miejsce na 35—40 osób. Miesięcznie przewija się ich przez Dom około stu. Przychodzą zwykle w łachmanach, wychodzą jako-tako zaopatrzone.

Jak nastarczyć na potrzeby materialne Domu Pracy, Pogotowia Opiekuńczego Dziewcząt i Chłopców?

Patronat dostaje subwencje z Ministerstwa Opieki Społecznej, z Urzędu Wojewódzkiego, z Zarządu Miejskiego itp., korzysta z ofiarności osób prywatnych, przy tym kierownictwem i administracją zajmują się osoby dobrej woli bezpłatnie... A jednak to zbyt mało!

Nie można całego tego ciężaru pracy składać na barki nielicznych jednostek — każdy powinien się poczuwać do dołożenia swej cegiełki do tego ogromnego gmachu pracy społecznej, wtedy może zniknie wreszcie głód i nędza, a z nimi i zło moralne!

Zofia Magierzanka
kl. VII. gimn. 440

Ekspedjentki

W dużym sklepie spożywczym kręcą się za ladą ekspedientki w białych fartuchach, od których odbijają jaskrawo ich czerwone ręce i twarze. Ekspedientki mają na sobie pod fartuchami grube pullowery i swetry, bo przecież latem i zimą drzwi wejściowe stoją otworem i mróz i wiatr chodzą swobodnie po sklepie.

— Nie zimno pani?

— Ano, jakoś się przyzwyczaiłam, zresztą jestem w ciągłym ruchu. W sklepie spożywczym klientów do obsługi nie brak.

Rzeczywiście, ekspedientka chwili nie stoi spokojnie, o siedzeniu nie ma w ogóle mowy! Jej zaczerwienione od chłodu ręce prawie bez ustanku z nieprawdopodobną wprawą wyjmują, odmierzają, pakują towar, piszą pokwitowania do kasy, skąd patronuje i ściga wzrokiem wszelki nieporządek tęga szefowa.

— Nogi panią nie bolą?

— Po prawdzie to i tak; żeby nie te ciepłe, miękkie pantofle, tobym chyba nie wytrzymała. Zawszeć to przecież człowiek od piątej rano na nogach.

No tak, to jasne, że kiedy przeciętny mieszczuch jeszcze twardo śpi, to już ktoś znaleźć się musi, co mu przygotuje na śniadanie mleko, masło, ser świeży i pieczywo...

Nabiał i warzywa przywozi się wczesnym rankiem, więc trzeba równie wcześnie sklep otworzyć, towar przyjąć, uporządkować, żeby przed pierwszym klientem wszystko już było na swoim miejscu, a potem, to czas schodzi nie wiadomo kiedy, aż do południa.

Bo w sklepach spożywczych największy tłok jest przed południem, kiedy wszystkie gosposie i kucharki kupują produkty na śniadanie i obiad.

W innych sklepach: bławatnych, galanteryjnych, ubraniowych — ekspedientki mają o tyle lepiej, że nie potrzebują tak rano wstawać. Sklep się otwiera o ósmej, lub dziewiątej i robota jest w nim mniejsza tak, że znajdzie się chwila na poczytanie gazety, książki, czy choćby trochę rozmowy z koleżanką.

Ekspedientki nie lubią specjalnie obiadowych godzin, bo przecież nie każda ma pieniądze na tramwaj, a często trzeba na ten obiad dość daleko chodzić. Więc pędzi się na gwałt, z jedną irytującą myślą, że za pół godziny trzeba będzie znowu biec, aby

tylko zdążyć na czas do sklepu i nie narazić się szefowej.

Po południu, to już zupełnie co innego, bo i czas jakoś prędzej schodzi, osładzany na podwieczorek chałwą, którą się zjada „na górce", czy w innym jakim miłym kącie, popijając gorącą i mocną niecukrzoną herbatą; i od południa do wieczora już niedaleko, a wieczór jest pełen cudownych możliwości, np. pójścia do kina, czy choćby na spacer, taki uczciwy, spokojny spacer.

— Bodaj to być biuralistką — wzdycha wtedy niejedna panna sklepowa. Pół dnia pracy w biurze, a drugie pół wolne.

Panna Marysia ma ukończone 6 klas gimnazjum i roczne kursy handlowe, ale mimo to do biura jej nigdzie nie przyjęli, bo nie miała protekcji ani nie mogła złożyć żadnej kaucji, więc poszła do sklepu, a jej koleżanka Zosia — skończyła całe gimnazjum i nawet francuski zna, ale to także mało. Żeby chociaż umiała jeszcze pisać na maszynie, to możeby się obie w sklepie nie spotkały.

— W Ameryce, to podobno uczą w „budzie" i maszynopisania i stenografii — wzdycha panna Zosia.

Zanim się zostanie ekspedientką, trzeba przejść t. zw. „praktykę".

Miesiąc bez pensji — to panny praktykantki jakoś przebiedują. — Trzy miesiące już trudniej, ale pół roku, — rok... to tak, jakby się czekało na śmierć. Aż się żyć nie chce z taką perspektywą przed oczami W domu bieda, a tu rok marnuj, bez grosza przy duszy.

Czasem, z nieprzejednanej chęci zaczepienia się gdziekolwiek, przyjmuje się i takie warunki, ale mało kto w nich wytrzyma, więc wieczorem, po robocie, a najczęściej podczas przerw obiadowych, w dalszym ciągu wertuje się ogłoszenia, szukając innej posady.

Oczywiście, że wtedy sklep niewielką ma pociechę ze swej pracownicy, bo przecież trudno jej się zdobyć na entuzjazm dla tego swojego, tak okropnie długiego, a bezpłatnego zajęcia. Zresztą, całe zainteresowania praktykantki leżą już tylko w poszukiwaniu nowej pracy, nowego miejsca.

W takich warunkach — stosunki po trochu się naprężają, aż wreszcie następuje wzajemne pożegnanie się. Szef oczywiście w takich razach świadectwa nie wypisuje.

Najprzykszejszymi dla ekspedientek dniami w roku są: wigilia i „Sylwester", bo w te dni już od południa idzie przez miasto świąteczny nastrój. Sklepy są zatłoczone kupującymi; roboty jest moc, więc panny Zosie, Marysie, Irki — pracują jak automaty i tylko gdzieś, na dnie ich dusz, czy mózgów ogłupiałych maszynizacją pracy, wierci się uparta myśl, że one jedne są jeszcze poza nawiasem tego całego świątecznego życia, że one jedne nie mogą już iść do domu i cieszyć się „gwiazdką", czy szykować się na „Sylwestra" — tak, jak ci wszyscy ludzie, co czynią na gwałt ostatnie zakupy i nic ich nie krępuje w oddawaniu się niepodzielnie przedświątecznej radości.

Nareszcie sklep jest zamknięty. Jeszcze tylko porządkuje się towar, a potem do domu — prędzej, prędzej, oddać się całkowicie swojemu, osobistemu życiu. *M. Łepkowska.*



Ryjkonoski.

Jeżeli kochasz zwierzęta, poproś na gwiazdkę o książkę, z której pochodzi ten rysunek. (patrz Nr. 2. 1. X. 1936 r.)

Wśród książek

Pia Górska. Szary Brat. Wyd Verbum. Warszawa — Moniuszki 8. Str. 150, z 4 drzeworytami Cieślewskiego. Cena zł 3.60

Szara, prosta, ale artystyczna okładka... A wewnątrz... Wewnątrz życie „kolorowe", co przez gamę barw i odcieni przeżyć przeistacza się w jedno wielkie, świetlane zjawisko.

Adam Chmielewski, człowiek chodzący, jak my, po ziemi, powstaniec, utalentowany malarz o wielkich możliwościach, a potem brat żebraczej i złodziejskiej nędzy i biedy ludzkiej. Szary brat Albert o promiennym sercu. Znał go przed dwudziestu laty cały Kraków. Dziś zna imię jego cała Polska. Zetknięcie z tą postacią orzeźwia, jak picie wody z czystych, górskich źródeł.

Język książki piękny, bezpośredni (pamiętamy ten język z wydanych przed kilku laty tejże autorki „Wspomnień o Chełmońskim"). Autorka, sama malarka, pisząc, przeżywa to, co pisze. To się czuje. I tym książka nas bierze I. S.

René Bazin. Wśród odmętu. Wyd. Św. Wojciecha. — Autor, członek Akademii Francuskiej, jest sam pedagogiem, nic więc dziwnego, że tematem powieści, która doczekała się wreszcie polskiego przekładu, są dzieje młodej nauczycielki, Dawidy. Dom nie dał jej na drogę życia nic. Dawida jest z natury dobra, kocha swój zawód, kocha młodzież i jest przez młodzież kochaną.

To wzbudza zazdrość i poważne intrygi przeciwko niej. Jest jej ciężko Szuka jakiegoś oparcia. Śmierć ukochanej uczennicy stanowi początek jej pogłębienia duchowego i zwrotu ku religii. Wkrótce Dawida staje się ośrodkiem siły moralnej, promieniującej na innych. Osobiste jej losy układają się szczęśliwie przez związanie życia z człowiekiem, któremu dopomogła do podźwignięcia się duchowo. Książka przedstawia życie bardzo realistyczne. Dobra dla młodych nauczycielek lub kandydatek na nauczycielki.

S. S.

Od redakcji

E. gim. 523. „Pierwszy wywiad" nie pójdzie do druku, bo, choć pisany nieźle, stanowi wycinek życia, nie interesujący czytelniczek z poza Lublina. Co pisać i kiedy przysyłać — zobacz w odpowiedziach redakcji w N. 3 i 6. Fotografie z gór zawsze pożądane, również wspomnienia z wycieczek, które mogą pójść do druku przed nowym okresem górskich wyczynów, tj. w maju, czerwcu. Więc — czekam!

L. Usarewicz. Gdynia. Nowelka miła, myśl przewodnia dobra — ale dla Dziś i Jutro zbyt dziecinne — przyznasz na pewno sama. Dałam redaktorce „Małego Światka" i tam się ukaże, o ile będzie miejsce w gwiazdkowym numerze.

Ewa M. gim. 440. Przyznaję, że temat nadaje się bardziej na wiosnę, lato, ale przysłać można zawczasu, naturalnie, z fotografiami. Łączę serdeczności dla całej klasy.

Krysia K. kl. VIII. gim. 643. Za miły list dziękuję. Wiersz „O zmierzchu" pójdzie, gdy będzie miejsce. Jest miły, lekko napisany, choć sama przyznasz, że nie nowoczesny. Ale — są różne gusta, prawda?

Marysia H. kl. VII. gim. 643. Nad sprawami, poruszonymi w Twym liście — kwestią pesymizmu itd., wartoby podyskutować. Może zrobicie to w klasie — a nadeślecie „protokół" z dyskusji? Mogą być ciekawe, a rozbieżne zdania, zależnie od punktu patrzenia.

Kl. III. gim. 668. Dziękuję za listy, łamigłówki, fotografię. Fotografię można wydrukować, owszem, ale wypadnie wtedy tak, jak „100-a fala" z N. 1 — więc — czy warto? Na wskazówki do hodowli kwiatów trochę poczekajcie, aż będzie cieplej, bo na razie i rośliny pokojowe przechodzą okres pewnego spoczynku zimowego. Ale będę pamiętała o waszym pragnieniu.

Kl. VII. gim. 668. A więc wreszcie obiecana odpowiedź! Na część poruszanych przez Was dezyderatów macie odpowiedź czynem już w N. 6 — i w numerze bieżącym. Wiecie, co uderza w Waszych listach? Oto umiejętność głębszego wnikania w układ numeru, znalezienia pewnych myśli przewodnich, które kierowały redakcją (byłby z Was dobry komitet redakcyjny!). I druga cecha — to „uczciwość", z jaką piszecie to, co myślicie — i strony ujemne, i dodatnie. Cenię to zwłaszcza u tych, które wiem, iż miały z tym trudności (Stasia Hl.). Takie stawianie sprawy, możliwie najbardziej obiektywne, wnikające w czyjeś intencje i trudności, a nie zadawalające się tylko sądem powierzchownym, daje zawsze możność porozumienia się.

Vox populi wśród Was — to domaganie się spraw bieżących — Waysówna pisze: „Co przecież najwięcej nas teraz interesuje? Włochy, Hiszpania, Daleki Wschód, Belgia — sprawy kraju naszego.".

I prawda, że Wam, młodzieży szkolnej, nie mogącej zbyt dużo czasu poświęcać na gazety, trzeba nieraz syntez, bodaj do powtórek. Proszę teraz o echa, o ile odpowiada Wam obecne ujęcie sprawy w N. 6 i 7? (Nie sądźcie, że nie myślałam o tej sprawie od początku, ale były takie różne okoliczności, które z początku uniemożliwiały realizację). Prosicie o tematy naukowe z zakresu historii, kultury klasycznej, literatury współczesnej naszej i obcej, o przegląd prasy, przegląd społeczny itd., o artykuły z zakresu sztuki — świadczy to bardzo dobrze o Waszych zainteresowaniach i potrzebach intelektualnych, ale odpowiada na to jedna z Was samych że „na to trzeba, by „Dziś i Jutro" miało nie 16, ale 30 stron" (Rybakówna). I „Dziś i Jutro" jest jako dwutygodnik ogromnie tanie — więcej stronic za tę cenę — dać nie można. A dalej pyta Rybakówna — „czy przynajmniej kiedyś tak będzie"? — Ufam, że tak — ale pomóżcie w zdobyciu prenumeratorów! Tymczasem robię, co można, by na 16 stronach było jak najlepiej, o ile się da. Seredyńska pisze, że „Dziś i Jutro" takie, jakie jest, stanowi lekturę wypoczynkową, a wy pragniecie lektury raczej kształcącej. Ale — czego pragną klasy inne? Wy, jako kl. VII, bierzecie z konieczności pod kątem widzenia pożytku, bo stoicie w obliczu niedalekiej matury. Zresztą, uważam że „Dziś i Jutro" niesie dużo materiału kształcącego, ale podawanego w formie lżejszej i czerpanego raczej z życia, niż z zakresu przedmiotów ściśle szkolnych, a — możnaby podyskutować, co jest najbardziej kształcącym w znaczeniu kształtowania całego człowieka, nie tylko jego strony intelektualnej. Seredyńska słusznie zauważa, że „pismo może odgrywać ważną rolę w kształtowaniu się światopoglądu czytelnika". Ciekawy jest dezyderat Andy J., by różne samorządy szkolne dzieliły się planami i wynikami swych prac. Życzę przy okazji Andzie powrotu do dobrego zdrowia! (widzę z listu, że z tym marnie jakoś.).

A jak Przyborowska rozumie urządzane na łamach „Dziś i Jutro" konkursy międzyszkolne? Proszę o konkretne wyjaśnienie.

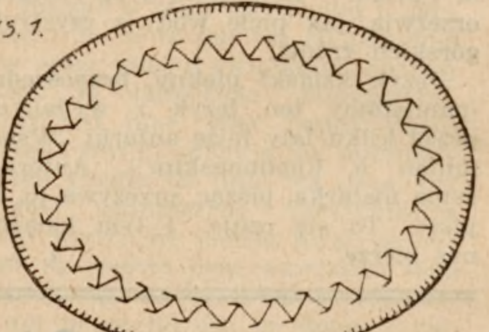
Dużo dałoby się jeszcze pisać do Was, bo wiele spraw poruszacie, ale zasadnicze omówiłam, a teraz ulec muszę... och, brakowi miejsca! Dziękuję Wam za listy tak, z serca, i na dalsze czekam.

Red.

Pularesik

Z filcu (ze starego kapelusza) skroić dwie elipsy, w jednej z nich wyciąć otwór na zamek i obdziergać elipsę dla ozdoby

RYS. 1.



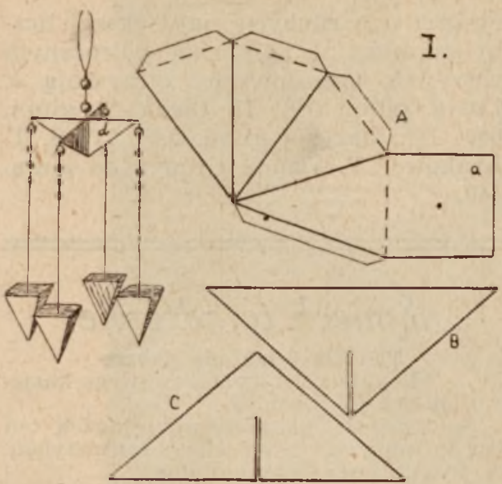
RYS. 2.

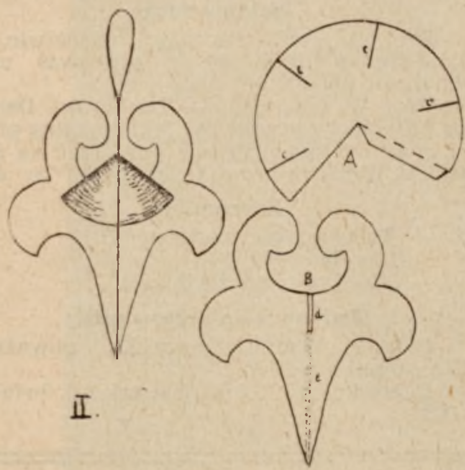


kolorową bawełną a drugą część oprócz obdziergania ozdobić ściegami: gałązkowym, krzyżowanym itp. Potem zszyć na maszynie dwie części tuż obok dzierganii.

Stanisława Kamińska.

Na choinkę





Objaśnienie Nr. 1.

Materiał — karton.

Wyciąć siatki A, przez środek kwadratu (a) przeciągnąć nitkę zakończoną supełkiem. Skleić ostrosłupy tak, aby supełek znalazł się w środku.

Wyciąć trójkąty B i C, złożyć razem i skleić. Nitki z ozdobami koralikowymi przyczepić do gwiazdki d.

Kolory. — ostrosłupy żółte z ozdobami niebieskimi. Trójkąt B żółty, C niebieski.

Objaśnienie Nr. 2.

Materjał — cienki karton.

Wyciąć część A i skleić w formie stożka. Ponadcinać po linjach c. Wyciąć dwie części B. W jednej części B wyciąć otwór d, w drugiej części B od dołu wyciąć otwór e. Złożyć razem i skleić. Stożek włożyć jak na rysunku.

Kolory. — Części B okleić złotym papierem. Stożek A okleić papierem czerwonym.

H. Mal.

Przyda się na gwiazdkę

Albertki

3 dkg. masła, 1 jajo, 12 dkg. cukru, 1/16 l. śmietany, 25 dkg. mąki pszennej, 6 dkg. mąki ziemniaczanej, ½ dkg. sody oczyszczonej. Mąka do posypania blachy.

Utrzeć masło w misce, dodać jajo, rozrzedzić śmietaną. Zmieszać na stolnicy mąkę pszenną i ziemniaczaną, dodać utarte masło i zarobić starannie, następnie dodać sody. Ciasto rozwałkować na grubość ¾ cm, i pokłuć widelcem, następnie wykrawywać ciastka dowolnych kształtów, ułożyć na posmarowanej blasze i piec na złoty kolor.

Nugat

50 dkg. cukru, 1/4 l. wody, 1 łyżka octu, 1/8 l. miodu, 6 białek, 25—30 dkg. orzechów włoskich łup., 4 opłatki lub andruty.

Nastawić wodę na parę w naczyniu odpowiedniej wielkości. Przebrać i pokrajać orzechy. Z cukru i wody ugotować syrop do nitki, następnie dodać miodu i gotować do nitki. Ubić sztywną pianę z białek. Pianę zaparzyć miodem i ubijać na parze, aż się piana będzie odrywać od trzepaczki, potem dodać orzechów, dobrze wymieszać i rozsmarować masę na opłatku, przykrywając od góry drugim opłatkiem. Zostawić do ostygnięcia pod lekkim ciężarem. Krajać w prostokąty.

M. T.

Łamigłówka liczbowa

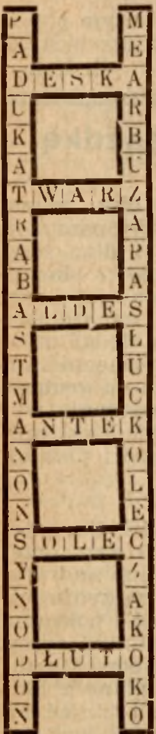
ułoż. M. T. Kraków.

Podany układ liczbowy zastąpić literami tak, aby utworzyły 11 nazwisk sławnych ludzi, a rząd oznaczony krzyżykami da imię i nazwisko sławnego kaznodziei polskiego.

1	2	2	X	3	5		
16	7	5	X	8	8	2	
10	3	5	X	9	3	12	3
11	6	4	X	3	6	7	
15	14	12	X	6	3	8	14
15	22	5	X	4	3	5	
17	22	1	X	8	14	9	
16	6	12	X	5	20	21	
16	6	18	X	17	7	5	19
19	6	7	X	7	14	9	
16	2	25	X	5	4		

1) powieściopisarz 2) malarz hiszpański. 3) malarz włoski. 4) malarz francuski. 5) polityk angielski z XIX w. 6) pedagog niemiecki. 7) malarz niemiecki. 8) prezydent jednego z państw słowiańskich. 9) filozof polski. 10) malarz. 11) muzyk.

Rozwiązania łamigłówek



Z Nr. 4.

Łamigłówka grzebieniowa: hazard, Lubicz, Narocz, bisior, grobla, szarfa, Estera, srebro, akacja: Helena Boguszewska.

Figiel zapałkowy:

| 1 = 1.

Z Nr. 5.

14	7	1	12
9	4	6	15
8	13	11	2
3	10	16	5

Szarada sylabowa Kuropatwa.

Z Nr. 6.

Łamigówka 1: muzyk, Izyda, Pogoń, łomot, łuk, ona, Potop, Wanda, Krakowiak, mówca, mozajka, pokój, parodia, powój, osa, 'k, wysiłek.

Zygmunt Nowakowski.

Łamigłówka 2: Świteź, wkoło, mak, Indie, kapuza, organ, łuk, Ateny, jesień.

Święty Mikołaj.

Zagadka 1. Wieprz.

Zagadka 2. Kalina, Alina, lina.

NAGRODY

(książki) za zdobycie największej liczby punktów w konkursie półrocznym rozrywek umysłowych otrzymują I. Lusia, gimn. 668; II. Basia M. gimn. 643; III. Marysia gimn. 668; IV. S. T. Kraków; V. Magda Grodyńska gimn. 440.

Śmiech to zdrowie

Tak źle i tak nie dobrze

— Słyszałem, że wydaliłeś swego kasjera. Jakież to powody?

— Uważasz, po pierwsze człowiek ten był do niczego, a po wtóre, zauważyłem, że był do wszystkiego zdolny!

Metamorfoza

Prof. A. — Co się stało właściwie z tym studentem X, który pracował niedawno u kolegi?

Prof B. (chemik). — Nieborak! Dzielny chłopak! Ale taki był lekkomyślny przy eksperymentach! Proszę popatrzeć na sufit... Widzi kolega tę plamę? To on!

Zrozumiał.

— Tatusiu, barometr spadł.

— Czy bardzo?

— Nie, tylko na podłogę...

Jedyne zainteresowanie.

Lekarz: Panie, gorączka poważna. 39,8 stopni.

Rekordzista: A jaki jest rekord światowy?

TREŚĆ N-ru 7/8:

Prenumerata od 15. I. do końca roku szkolnego wynosi 3,50 zł.

Numer 7/8 kosztuje 60 gr.

Warunki prenumeraty: rocznie w kraju 5 zł.
„ za granicą 7 zł.

Numer pojedyńczy 30 gr.

Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.

Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.

Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.

Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31.

Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.